



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
 30 cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWOC

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Chociaż to życie idzie po grudzie, podskakuje-
 my jakoś i bawimy się, oile starczy fantazyi,
 humoru i tego trzeciego czynnika, co dwa pierw-
 sze podsyca—pieniędzy.

Zarzucają (!) tegorocznemu karnawałowi, że nie
 jest tak huczny i zapamiętały, jak bywał za lat
 poprzednich, ale nie można powiedzieć, aby mu
 brakło werwy i tanecznego rozmachu; jeżeli nie
 słyhać o nadużyciach, o kosztownych i wysta-
 wnych strojach, sprowadzanych z zagranicy, o ba-
 lach kostymowych, o kuligach kilkodziennych,
 o marnowaniu zdrowia i grosza dla chwilowego
 zadowolenia próżności, to tem lepiej.

Złą opinią zapustom tegorocznym zrobią zape-
 wne kupcy i modniarki, bo ich nadzieje poweto-
 wania sobie straconych korzyści w ciągu zeszłe-
 go roku zawodzą.

Nasze modnisie z konieczności zeszkromniały.

Ale, jeżeli nie słyhać dotąd o zbyt rozgłosnych
 królowych balu, zachwycających i olśniewających
 swoim zewnętrznym majestatem z koronek i je-
 dwabiów, to nie należy jeszcze wnioskować z te-
 go, że karnawał zrezygnował z dobrej i ohocezej
 zabawy.

Owszem, ludziska się bawią tańszym kosztem i
 oszczędniej, a choć to tylko skutek konieczności,
 może na przyszłość będzie krokiem postępu i po-
 żądanej reformy, której nie można było w pomyś-
 lniejszych czasach narzucić, ani zalecić żadnymi
 argumentami.

Coraz więcej słyhać dziś o skromnych „wie-
 czorkach wełnianych“, które za przykładem War-
 szawy zaprowadza powoli i prowincya, naśladu-
 jąca bardzo słusznie stolicę, a zapowiadają nam

nawet cały bal wełniany na cel jakiś dobroczyn-
 ny; byłoby to ciekawe doświadczenie, oileby ta
 demokratyczno-ekonomiczna reforma naszych za-
 baw nawet na większą stopę wytrzymała próbę
 ognia publicznie.

Przyznajemy się wszelako, że w powodzenie ta-
 kiego balu dziś jeszcze niebardzo wierzymy
 u nas; prawie na palcach dałoby się policzyć te
 panie, któreby nie wołały siedzieć przez cały
 karnawał w domu, aniżeli na Sali Ratuszowej al-
 bo w resursie ukazać się w skromnej, wełnianej
 sukni na publicznym balu, wobec krytykującej
 galerii zwłaszcza.

Zwyczajne wieczorki prywatne, a choćby wtór-
 ki nawet w Resursie Obywatelskiej, nie wchodzą
 w rachubę,—ale bal, wielki bal, prawdziwy bal i
 to publiczny, ma swoje prawa, swoje przywileje,
 swoje tradycje, od których nie tak łatwo odstąpi
 zachowawcze stronnictwo płci pięknej.

Nie zbywałoby też na argumentach przekony-
 wających.

Bodaj-to być mężczyzną wobec królowej mody!
 Frak, biały krawat i szapoklak w rękę, stały się
 już do ideału niemal uproszczoną formą toalety
 męskiej, nad której reformą nie potrzeba sobie
 głowy łamać, ani szpałt całych papieru zapisywać.

Gdyby to kiedy do takiego uproszczenia toa-
 lety kobiecej dojść mogło.... biała suknia jednego
 stroju, kwiaty i wachlarz, naprzykład, niechby
 stanowiły ów oficjalny mundur salonowy.

Bogi!—co za spojrzenie pogardy, lekceważenia
 jeżeli nie gniewu i oburzenia z oczu naszych czy-
 telniczek przerywa nam to majaczenia na temat
 toaletowej reformy, o której profanom lepiej się
 nie odzywać.

Czy nie prawda?

W ogólnym chórze utyskiwań na fatalny na-
 strój interesów i niebywałą biedę odzywają się
 obecnie najgłośniejsi.... krawcy; podobno ze wszyst-
 kich rzemieślników, dotkniętych ciężkimi wa-
 runkami obecnej chwili, ten zawód najdotkliwiej

uczuł skutki smutnego przesilenia. Losy wywle-
 kły seciny igieł i wytrąciły mnóstwo nożyc z kra-
 wieckich rąk, które beczynninie zawisły przy pu-
 styh warstatach. U progu obleganych kas po-
 życzkowych najwięcej pono tych biednych kraw-
 ców, majstrów i czeladników, wyciąga rękę po
 wsparcie.

Komu dzisiaj się chce stroić przy pustym żo-
 łądul...

Gdyby jeszcze można było oznaczyć termin le-
 pszego zwrotu!—ale ekonomiści wzruszają ramio-
 nami i wzdychają bardzo dwuznacznie, mówią coś
 o całych latach ciężkiej próby, o kryzys, która
 nie przeszła całkowicie, o sytuacji nieograniczo-
 nej jednym krajem lub państwem, ale wytworzo-
 nej powszechnie i dolegającej wszystkim zarówno.
 Tu nie chodzi już o Królestwo, lecz o całą Euro-
 pę, która coraz więcej dziur odkrywa w swoich
 kieszeniach, a przekonywa się, że załatać ich nie
 ma czem.

W danych warunkach trzeba myśleć o srod-
 kach najbliższemu złemu zaradzić mogących, aby
 z dnia na dzień wytrwać, aby jakotako przez
 dzisiaj do jutra przebrnąć.

Środeczkami można się tylko ratować, zanim
 na radykalne środki pora i rada się znajdzie.
 Wszystko tedy, co choćby chwilowo polepszyć
 zdoła położenie jednostki czy ogółu, powinno iść
 w rachubę; niczego lekceważyć i pomijać nie
 wolno.

Był czas, kiedyśmy pełnego kłosa nie liczyli,
 dziś o plewę dbać musimy.

Z nastaniem postu i wiosny, jako czynnik wzbu-
 dzający większy ruch pieniężny chwilowo, wejść
 mogą na porządek dzienny rozmaitego rodzaju i
 zakresu wystawy.

Najbliższą będzie oddawna przygotowywana
 wystawa kucharska.

W tych czasach, co prawda, łatwo pozyskać
 palmę dobrego kucharza, bo kto tylko głodnego
 nakarmi, ten najlepszy kuchmistrz; ale dla sma-

koszów głód nie bywa sprawdzianem sztuki kulinarnej; będziemy tedy w Warszawie polykali podwójnie ślinkę na widok tych wszystkich specyaliów, które nam pod nosi oczy podsuną na półmiskach, roznach, patelniach, w wazach, salaterkach, słoikach i baryłkach panowie wystawy. A jednak tysiące ludzi, zapytanych o zdanie: gdzie najlepsze rozdają obiady, albo najsmaczniejszą herbatę?—odpowie bez wahania, iż w fabryce p. Handtkiego, albo na Solcu, albo w przytułkach noclegowych, bo.... darmo i podczas mrozów.

O tej najmłodszej naszej instytucji dobroczynnej, powiemy tu mimochodem, że dotychczas rozdala, biednym 9.741 noclegów, tyleż funtów chleba, 19,482 kubków herbaty, nie licząc innych artykułów żywności, jak: kasza, kartofle, słonina, obwarzanki i t. p.

Te dwie liczby nieźle świadczą o filantropijnej działalności przytułków, które biednym naszego miasta słodzą choć w części smutną i ciężką dolę podczas zimy.

Na wiosnę przybędzie roboty i rąk do pracy zajdzie pożądana potrzeba; gdyby je wszystkie, dziś bezczynnie zwieszono, skutecznie podnieść i zająć można, zarazby się wypogodził z chmur cały horyzont.

W Czerwcu przez dni piętnaście trwać będzie wielka wystawa rolniczo-przemysłowa, która zakassować ma ostatni popis, zprzed lat kilku, naszej wytwórczej pracy ekonomicznej.

Jeżeli nie chybią starania i trudy Komitetu wystawowego, cel zostanie osiągnięty; wystawa wzbudziła zajęcie w kołach gospodarzy i przemysłowców naszych; zachętą będą nagrody, dwa złote i wiele srebrnych medali, listy pochwalne, kwoty pieniężne, ale.... do Czerwca jeszcze daleko, a kto tam przyszłość odgadnie?

Projektowanych jest jeszcze kilka innych wystaw, pomiędzy temi wonna i miła dla oka wystawa ogrodnicza, którą zamierza urządzić młode Towarzystwo Ogródnicze; zyskuje ono coraz szersze koło zwolenników i współdziałaczy, a odkąd rozpoczęło na miesiecznych zebraniach rozlosowywać kwiaty i rośliny w doniczkach, znajdzie zapewne jeszcze większą ilość członków, zwłaszcza między płcią piękną, którą kwiatkiem zawsze jeszcze zwabić i pozyskać można, pomimo spożytywnienia naszych gustów i pojęć.

We Lwowie Koło literacko-artystyczne, urządziła wystawę dzieł i szkiców wszystkich malarzy polskich, jako też pozostałej spuścizny po sztycharzu Redlichu, na korzyść osieroconej jego rodziny. Ma to się zebrać i ułożyć wszystko jeszcze podczas karnawału; tylko czy ten pośpiech na dobre wyjdzie, nie chcemy sądzić, według naszego przysłówia o tem, „co nagle....“

Szkoda, że do Lipca zadaleko, ale na Lipiec zapowiadają we Lwowie zjazd archeologiczno-historyczny i pogrzebany w roku zeszłym kongres polskich literatów, dziennikarzy i artystów; pora byłaby odpowiedniejszą, na taką wystawę i możnaby postarać się o jej uświetnienie.

Ilekróć jaka trumna artysty czy pisarza w ziemię wpadnie, a nad grobem wdowa i sieroty zawodzić zaczęła, tyle razy przechodzi nam na pamięć nasza nieradność i smutny los tych nieszczęsnych kobiet w grubej żałobie, które całą resztę życia nieraz pokutować muszą za to, że poecie, malarzowi, muzykowi lub jakiemu innemu z tego cechu.... niepraktycznych—zaufały, rękę oddały i serce oddały, aby potem nad jego mogiłą, gdy zły los tak zechce—zobaczyć się w opuszczeniu, bez pomocy, podpory, chleba i dachu niekiedy. Nic, nic nie robimy dla tych pośmiertnych obowiązków, z jakimś lekkomyślnym egoizmem, patrząc tylko w dzień dzisiejszy.

Ciężka to dola owych wdów i sierot po literatach i artystach u nas: choć się serce kraje, choć usta zębami przycięte, trzeba z trumny zdzierać laurowy wieniec i iść z nim między ludzi, aby go na kęs chleba zmienili, a najczęściej tym wieniec tylko wdzięczne społeczeństwo radeby opłacić wszystkie długi i zobowiązania względem pamięci swoich zasłużonych.

Jakże na dobre wydaje się nam znowu sprawa, którą sędziwy nestor naszej literatury J. I. Kraszewski w swoich „Listach z zakątka“ w *Bresia-*

dzie literackiej porusza; wspomina on o popularnej dziś fundacji imienia Schillera w Niemczech, która z małego powstała, z ofiar, składek i funduszków różnych literatów, a później popierana i wspomagana przez ogół, przez rząd, przez instytucje rozmaite i fundacje, zebrała półtora miliona marek kapitału i z procentu utrzymuje wdowy, sieroty, wyznacza pensje dożywotnie, daje zapomogi, zakłada bursy i t. p.

„Coś podobnego należałoby założyć u nas—powiada Kraszewski—a spodziewaliśmy się, że Koło literacko-artystyczne lwowskie weźmie w tej mierze inicjatywę....“ W Niemczech każda prowincja ma fundację tego imienia, a wszystkie te odnogi tworzą potem instytucję, która miewa doroczne walne zgromadzenia, ogłasza sprawozdania, corocznie wybiera sobie prezesa i biuro. Siedziba stowarzyszenia centralnego, co uważam za bardzo szczęśliwą innowacją, przenosi się co rok gdzieindziej i przechodzi z kolei przez Berlin, Dreźnie, Stuttgart do Monachium“.

Choćby dlategosamego, aby taką instytucję założyć raz, warto przecież ów raz już niedoszły wiec literacko-artystyczny przeprowadzić wreszcie do skutku.

Smutną, grobową zapisujemy na końcu kroniki naszej wiadomość.

Antoni Edward Odyńiec, przyjaciel Mickiewicza, świadek jasnej jutrzienki romantyzmu naszej literatury, poeta i tłumacz wzorowy, pracownik wytrwały i nieustrudzony, umarł w dniu 15 b. m.

Powiadają, że pewne kamienie mają własność chłonięcia w siebie światła słonecznego podczas dnia, którem potem przez długą noc świecą; pomiędzy ludźmi zdarzają się także kryształowe dusze i serca, które całej doby, całej epoki jasniejszej promienie chłoną w siebie i świecą niemi później po zachodzie tych gwiazd długo jeszcze, jakby pogodny zmrok letniego wieczoru.

Jeśli porównanie może być charakterystyką trafną, to Odyńca do owych kryształów napojonych blaskami romantyzmu i słońce jego największych zaliczyć-by należało.

Sędziwy starzec, któremu dziewiąty już krzyżyk przygarbiał ramiona, zeszedł do mogiły strudzony życiem; ale w nim zagasnął jeden z ostatnich, uosobionych promieni pięknego południa naszej poezji, a sercu ciężko przyzwyczaić się do tej myśli, że to prawie ostatni z tych, co mieli prawo i umieli żywym słowem świadczyć teraźniejszości o tej promiennej niegdyś, tak świetnej i szlachetnej epoce naszego duchowego rozwoju i życia, w której geniusz poezji i natchnienia pochodnię świętego zapалу, jako godło ideału, i gałąź wawrzynu, jako symbol sławy, podnosił wysoko, ponad pospolitość naszego żywota.

W historii literatury nazwiska takie, jak Odyńca, będą powtarzały się częstym echem obok nieśmiertelnych nazwisk Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, i tych wszystkich, co opromieniają blaskiem swojego talentu mleczną drogę naszych wieszczów i piewców romantyzmu. W historii tego okresu, i dalej aż po nasze dni, szukać należy śladów działalności i twórczości autora „Felicjty“, tłumacza „Pani jeziora“ i pisarza „Listów z podróży“. W kilku wierszach biograficznej notatki nie byłoby godnem i gdziewem zamykać rachunek ze zmarłym poetą nad zamkniętą za ledwie jego trumną.

Pokój mu!

HENRYK SIEMIRADZKI.

(Dalszy ciąg).

Temat cierpiącego chrześcijaństwa już podczas opracowywania *Świeczników* wprowadził Siemiradzki do innego swego obrazu: *Prześladowany chrześcijan u wejścia do katakumb*. W tym samym roku, kiedy się pojawiła kompozycja osnuta na opowiadaniu Tacyta. Warszawa oglądała *Elegię*. Ciche ustronie nad błękitną wodą, na wzgórzu; dwoje rozmarzonych przed mauzoleum rodzin-

nem; idea znikomości rzeczy ludzkich i wiara młoda w ich wiekiistość współzawodniczą ze sobą, aby się złożyć na duchowy charakter tych ogorzałych twarzy, szlachetnie zarysowanych, smutnych, ale do przyjęcia na siebie wyrazu głębszej, szarpającej boleści niezdolnych. Jak ta błękitna powierzchnia jeziora, tak jasnym jest dno tych dusz: smucą się, dopóki są tutaj, ale gdy odejdą, żyć zaczęły. Przez charakterystyczne drzewa Siemiradzkiego padają plamy białego światła na grobowiec i na postać kobiety. Czuć palące słońce południowe, — krainę klasyczną, pogodną, wdzięczną, wesołą, która dostraja do siebie samą elegię dusz ludzkich. Krajobraz ten będziemy mieli sposobność oglądać w niejednym jeszcze z późniejszych utworów artysty; jest on dla nich jakgdyby zasadniczym, typowym, jak i sama treść, która się w pewnych odmianach powtarza w kilku obrazach w tym samym czasie powstałych. Taką odmianą pierwotnego pomysłu jest przedewszystkiem *Idylla*—wśród grobowców, ale z innym już krajobrazem, z widokiem bardzo rozległym, oryginalnym, nastrojonym na ton grobowy. Postacie dwojga bohaterów nowej tej liryki Siemiradzkiego uważać musimy za chybione, zarówno w tonie kolorystycznym, jak w wyrazie, nawet w rysunku. Innym znowu momentem tej samej historii wydaje się *On i ona*, obraz niezalecający tak znakomitego pędzla, z krótką, jakby przytępioną postacią młodzieńca; krajobraz ma tu tesame plamy świetne, tesame drzewa i kwiaty, takisam efekt malowniczości, jakim uderza *Elegia*. Dużego uroku jest widok otaczającej natury w innej historii miłosnej. Tu już panuje ponura groza; w głębi, na skraju ciemnego lasu płonie ogień jakiejś złowieszczej ofiary—symbol tragicznego uczucia. Za przykładem całujących się bogów, całuje młody mężczyzna—może niewolnik — kobietę, którą przed chwilą przewiózł w łodzi do stóp posagowej grupy. Kompozycja ta głębiej do nas przemawia elegijnym nastrojem swoim, niż ta, która od elegii nazwę swą bierze. *Pokusa* przeprowadza nas już do świata zbytku i orgii rzymskich. W dole płynie rozkosznym jeziorem czy zatoką wesołe towarzystwo, z wieńcami na głowach; brzegiem idzie samotna kobieta, której piękny typ klasyczny stale się u Siemiradzkiego powtarza. Przystan łatwa, brzeg nie wysoki; po rozkosz tylko sięgnąć... Na spokojnem obliczu walki nie widać; wyraża się w nim raczej smętna jakaś ciekawość. Krajobraz jasny, bardzo wdzięczny.

Tamiec wśród mieczów i obraz nazwany: *Wazon czy kobietę?* dają nam widzieć tych patrycjuszów, co-to w nieśmiertelnym stylu Tacyta tarzali się w prochu przed cezarem, a w wielkim obrazie Siemiradzkiego zabawiają się żywymi pochodniami Nerona. Nagie ciało kobiece, wypieszczone najdelikatniejszym pędzlem, gra wielką rolę w ogólnej malowniczości tych utworów; z głębi *tańca* przegląda gorący uroczy krajobraz, z gorami i morzem, tensam, któryśmy już nieraz widzieli. Patrycjusz na terrasie willi nadmorskiej zabawiają się widokiem niebezpiecznego tańca i ponętą zmysłową ciał, której artysta umiał nadać szlachetną miarę. Technika w tym obrazie jest równie znakomita, jak w drugim, gdzie stary rozpustnik, przybywszy do sklepu różnych kosztownych osobliwości, spotyka w nim i handlarza ludzi, przeprowadzającego na sprzedaż towar wysokiej wartości, jak o tem Rzymianin przekonać się może po zdarciu zasłony brutalną ręką jakiegos niewolnika. W obnażonej wstyd, w senatorze ociężała żądza przesyty, w jego młodym towarzyszu, dalej odsuniętym, podziw i poczynający się zachwyt nad pięknoscią, która tę naturę młodą stokroć silniej pociągać musi, niż jego wyuzdanego towarzysza, namysławającego się: na co wydać zbywające jeszcze pieniądze,—może cenę krwi czyjej, może niegodziwy dochód z jakiegos wpływowego stanowiska—na wazon czy na kobietę? Pewna powściągliwość—rozmyślna czy mimowolna, od natury talentu zależna—zawsze panuje u Siemiradzkiego: ztąd też i w tym obrazie charakterystyka nie jest tak silną, aby rzucała się w oczy; obraz uderza przedewszystkiem pięknoscią zmysłową, przedstawioną bez wyuzdania, oraz wielkim przepychem rozmaitych pięknych

rzeczy, stojących już na granicy sztuki, które się w sklepie osobliwości znajdują. Wykonane to wszystko jest znakomicie. Tożsamo powiedzieć potrzeba o *Rozbitku Żebrzącym*, gdzie świetny koloryt współzawodniczy z pięknymi rysami twarzy kobiecej, z bogactwem łodzi, z akademicką starannością umyślnie na ten cel obnażonych pleców i ramion męzkich, ale gdzie nic nie przemawia do duszy: ani żebrak, ani dama wsiadająca do wspaniałej łodzi. Nienależyte ustąpienie cieniów w bulwarze kamiennym mąci kierunek brzegu i położenie łodzi. Wyidealizowany ośrodek dla zamierzonej treści obrazu—jest znowu tutaj klasycznym.

Najpoważniejszym utworem wyprowadzonym z dziejów tła Rzymu, z epoki rozpasanego cezaryzmu, jest *Tyberjusz na Capri*. Uważamy to dzieło za najdramatyczniejsze ze wszystkich, historycznym charakterem swoim najżywiej przemawiające do umysłu. Neron zabawiał się w zapalanie smołą oblatanych chrześcijan: Tyberjusz zabawi się w strącanie ze skał czarownej wyspy tych, których na współluczestników rozkoszy swoich zaprosił. Pijane towarzystwo o świcie już wraca z całonocnej biesiady; na skrócie drogi, między skałami, nad samym brzegiem morza, ukazują się na ziemi, zbrozzone krwią ciała jakiegoś podejrzanego, którego cesarz zwabił uludą rozkoszy, aby mu dać rzeczywistość śmierci. Cały pomysł, układ, wykonanie—wszystko znakomite. Krajobraz zupełnie oryginalny; w jednej połowie ogarnia go tajemniczość nocy, która jeszcze nie minęła, w drugiej pośpiech groza dnia, który dopiero nadchodzi. Morze wzburzone, niespokojne, wicher je chłoscze. Zielonej fali odpowiadają zielono-żółte, blade, bledzący swą ohydą, niebiosy. — Dziś będzie jak wczoraj; daremnie się natura wysyłała na piękno: nie wygląda tej moralnej brzydoty, jaką tyrania wypełnia karty dziejów rzymskich.—Obraz ten nie pozostał w kraju; nie znalazł się nikt, kto by go zatrzymać u siebie zapragnął i nie pożałował nakładu.

Zupełnem zboczeniem od tych kolei, jakie sobie fantazyja twórcza Siemiradzkiego przez wiele lat urabiała, jest *Jaskinia piratów*, posłana aż do Melbourne na powszechną wystawę przemysłu i sztuk, dzieło lat ostatnich. Do wybrania takiego przedmiotu pobudzić mogła Siemiradzkiego tylko żądza nowej, do owego czasu dziełem jego obcej, malowniczości: w zmierzchu groty bogate łupy, piękne ciała kobiece, potężne plecy i piersi rozbójników, w głąbi przez otwór w skale przeglądające błękity. Pomimo pilnego wpatrywania się w ten obraz nie mogliśmy w nim dostrzedz nic, coby oczekiwania nasze, wobec takiego arcyzmu powzięte, zaspokoić zdołało. Talent i inteligencji Siemiradzkiego szkoda było na taki przedmiot; artysta, zniżając się, utracił siły; zawiodła go nawet zwykła jego kolorystyczna dzielność. Niejednemu *Jaskinia* przyniosłaby zaszczyt; Siemiradzki więcej na niej stracił, niż zyskał.

Twórca *Tyberjusza* nakrótka tylko odrywał się od tematów rzymskich, aby dać wesołą jaką mitologią, jaki pejzaż lub do budującego się kościoła WW. Świętych w Warszawie wymalować swoje *Zmartwychwstanie*, znajdujące się obecnie w II piętrze wielkiego ołtarza. Odrywał się i do innych tematów, ale te z zakresu charakterystyki naszej usuwamy. Wspomniemy tu tylko jeszcze o jednym dziele—najpóźniejszym co do czasu powstania, najgłębszym co do pojęcia. Dzieło to kapitalne znajduje się w Warszawie.

Mówimy o ogromnym plafonie, zamówionym przez p. Zawiszę do jego pałacu przy ul. Bielańskiej, niegdyś własności Kossowskich, i tamże w lecie r. z. umieszczonym. Jest to malowidło czysto idealne, symboliczne; postacie ludzkie służą w niem za symbole pojęć, jestestw czysto-umysłowych, w życiu świata wiekuiście czynnych, ścierających się ze sobą w legendowej walce Aharamuzdy z Ahrymanem. Kompozycją tę nazwano *Tryumfem światła*, ale artysta z tryumfem złączył spokojne, niezakłócone żadnem przeciwieństwem losu panowanie sztuki, i energią postępu materyalnego, i przewagę wolnie działającej cywilizacji, która kiedyś, według ideału artysty, ma strącić w otchłanie szatana przemocy, aby człowiek nie zne-

cał się już więcej nad człowiekiem. Co szatańskie, leci w przepaść, co ludzkie i duchowe wzbija się w górę. Punktem wyjścia kompozycji w dole obrazu jest ołtarz Przeznaczenia z mistrzowsko oddanem obliczem Parki. Za widownię dla dobrych i złych służy wnętrze wspaniałej architektury i w przedłużeniu jego znajdujący się przestwór powietrzny. Perspektywa w tym obrazie wydaje się nam niezupełnie dokładną; architektura nie otwiera się dobrze w górę. Po brzegach, w znakomitych skrótach, lecą stracone duchy ciemności; środek zajmują postacie występujące pod sztandarem światłości, a złączone tu w jeden nieprzerwany łańcuch. Wszystkie sztuki, nauki, kunszt, wynalazki, nawet przemysł i handel, mają swoje postacie symboliczne. Im wyżej, tem mniejsze kształty, tem słabsza wyrazistość, ale w postaciach tem silniej zaznaczany charakter XIX w.

Ztąd też dano malowidłu temu nazwę *Apoteozy XIX w.*, a w mniemaniu tem utwierdził jeszcze brak Wiary, której oco daremnie szuka we wstępującym łańcuchu sił działających dodatnio. Wiary w obrazie nie ma—to prawda; mogła ona być i była zapewne nieraz czynnikiem dobra, ale nie była czynnikiem światła, artysta zatem w kompozycji, gdzie światło tryumfuje, symbolizować jej nie chciał; zostawić mu potrzeba jego przekonania i nienarzucac despotycznie swoich. Co innego pracownia piękna, co innego zakrystya. Lepiej uczynił Siemiradzki, nie licząc się z ubocznymi względami, niż Matejko, kiedy dla ubocznych względów do *Grunwaldu* swego dorabiał widzenie niebieskie. Co organicznie nie odczute w pierwszej chwili poczęcia, to później, choćby najgenialniej wprowadzone, będzie tylko mechanicznym dodatkiem. Dzieło Siemiradzkiego, całe jak jest, wyszło z jego duszy. Styl utworu odpowiada zupełnie jego tematowi. Do symbolicznych swoich postaci, przeważnie niewieści, nie mógł brać artysta oblicz z ulicy, z nad rynsztoka, a choćby z budoaru czy salonu: wziął je ze świata klasycznego, wyidealizował według niespożytego typu sztuki klasycznej. Pod względem techniki pędzla malowane jest to płótno ponad wszelkie pochwały. Gdyby wiek dzisiejszy nie krzywił się tak na allegorye, gdyby nie miał takiego wstrętu do pojęć oderwanych, a tak gorąco nie rwał się do wrzekomego realizmu, który najczęściej bywa gminnością, *Tryumf światła* większego dostąpiłby rozgłosu. Ma on wszakże przed sobą przyszłość pewną: może czekać.

(Dokończenie nastąpi).

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Musiała z nim jechać na wieś, nie bez żalu i tęsknoty po Warszawie. Z tych lat wesołej, nieopatrnej młodości pozostały jej niezatarte wspomnienia. Ile razy więc odżywić je mogła odwiedzinami i choć krótkim pobytem, niezmiernie się czuła szczęśliwą. Sam widok ukochanego miasta wprawił ją w uniesienie; wszystkie wspomnienia dni wesołych bez jutra poruszały sercem jej odmłodzonem, lice się śmiało, a z oczek łzy spływały.

Zajeżdżała zwykle do starego ojca, który, po wtórnie ożeniony, prowadził dalej swój handelek, nie mogąc się na nim dorobić nic, ale mając z niego utrzymanie.

Julisia teraz wydawała się tu wielką panią, bo jej działo się dobrze. Na jej przybycie w domku

przy ulicy Bednarskiej opróżniała macocha pokój i ojciec był na jej usługi. Teraz też spodziewano się tych odwiedzin, powracających w pewnych terminach—i przyjęto ekonomową z wielką radością.

Rozumie się, że ze wsi zawsze z nią coś dla ojca przyjeżdżało: serki zawiedle, faszeczka marynowanych rydzów, wędzone kiełbasy wiejskie, worek kaszy obwarzanej i t. p.

Zdziwił się stary Franaszek, gdyż tak się zwał ojciec ekonomowej, gdy oprócz córki ujrzał wysiadające z bryczki dosyć niepozorne dziewczę. Wziął ją za dziewczynkę do usług.

Ale nim macocha kawę podała, która naprzód była gotową—już Julisia historią sierotki opowiedziała—i—ojcu oznajmiła, iż musi się starać pomódz, aby dziewczynina umieściła się gdzie bezpiecznie.

Nie zdawało się to w początku bardzo trudnem zadaniem, gdyż rąk pracowitych zawsze potrzebują ludzie, tylko, że te ręczęta i słabe były jeszcze i niewiele umiały, a dziewczyna zbyt młoda.

Franaszek, poskrobawszy się w głowę, dokończył:—Eh! jakoś to będzie!

Justka w ciągu podróży, przybycia i tych pierwszych chwil pobytu tak była przejętą, zdumioną, ogłuszoną tem, co ją otaczało, że o sobie i swym losie prawie zapomniła. Żywy jej umysł napróżno się silił ten ruch, to życie gorączkowe, tę różnobarwność zjawisk, wytłómaczyć sobie. Widziała i tu, taksamo jak na wsi, możliwszych i uboższych—dostatki i nędzę, ale wszystko to inaczej niż na wsi wyglądało, inaczej ocierało się o siebie.

Wyobraźnią dziewczę szukało miejsca dla własnej swej pracy i znaleźć go ani obmyslić nie mogło. Takich wyrostków, jak ona, wśród tłumu prawie nie było.

Usłyszała Franaszka, który po rozmowie z córką dodał w końcu:

—A gdyby się na razie nie dało pomieścić jej, to zostanie u nas jakiś czas. Będzie pomagać jej—mości; tylko u nas dla niej przyszłości niema, nie nauczy się nic.

Pomimo najlepszej chęci Julisi, mimo jej stręceń, pytań, nie udało się Justysi umieścić. Kto ją zobaczył chudą, żółtą, niesformowaną, niepozorną, z tym wyglądem słabowitym, lękał się takiego chrząszcza wziąć do domu, nie spodziewając się po nim pomocy.

Justka zresztą, niemogąc sama sobie tu nic radzić, nieznając miejsca ani ludzi, musiała zdać się na łaskę Julisi i Franaszka—i czekać; a że do roboty nie miała nic, oprócz swojego ukochanego elementarza, z którym po całych dniach siedzieć nie było podobna, pomagała więc Franaszkowej, zamiała, prasowała, popisywała się ze wszystkimi wiadomościami nabytymi u Sędziny.

Stała się tak użyteczną w domu, iż może to właśnie wstrzymało starego przekupnia od gorliwego poszukiwania dla niej innego umieszczenia.

Julisi już potrzeba było powracać, choć się z tem ociągała—jak mogła, bo jej tu wesoło dni płynęły, a miejsca dla sieroty ani widoku, ani nadziei nie miała.

Franaszek powtarzał:—No, to do czasu niechaj przy jejmości pobędzie.

I na tem się skończyło.

Justka nie ubolewała zbytnio nad swym losem: najpierw nie zakazywano jej wcale elementarza, nie lajała Franaszkowa, przynajmniej dopóty, dopóki Julisia tu była; pracą zbyteczną jej nie zamęczano, a ta, która na nią spadała, sił jej nie przechodziła.

Tylko przyszłości w tem nie było żadnej.

W dzień odjazdu Julisi dziewczę się jej do nóg rzuciło, dziękując za opiekę. Franaszek zapewnił córkę, że miejsce wyszuka doskonałe, i tak Justka tymczasowo pozostała pomocnicą pani Franaszkowej.

Druga ta żona starego już przekupnia, który, nie siląc się bardzo na wymysły, handelek swój starą prowadzi rutyną—wdowa po mieszczań- nie, niegdyś bardzo piękna i płocha, nieszczęśliwą była kobietą. Męża oszukiwała we wszystkim, wiodła życie poza domem, gospodarstwem

mało się zajmowała, a leniwą była niezmiernie.

Justka jej była bardzo na rękę: roztropna, sumienna, pracowita, wyręczała ją we wszystkim.

Justkę to wbijało w pychę, a jejmości wygodnym było. Z początku Franaszkowa obchodziła się z nią łagodnie i starała się ją sobie pozyskać, ale, raz podbiwszy, i widząc, że dziewczę jest powolne, jejmość poczęła miarę przebierać.

Do elementarza czasu coraz mniej pozostawiała. Kucharke posyłała, dawano jej polecenia, sama jejmość nie robiła nic, i—począwszy od zamiatania i szorowania—zajęcia domowe stopniowo wszystkie spadły na Justkę. Jeżeli czego nie zrobiła w porę, jejmość bąkała, że darmo chleb je.

Zamęczała się sierota, bo miała dobrą wolę, ale z dniem każdym wymagania rosły, nie było im końca. Pocichu, ostrożnie, raz poskarżyła się Franaszkowi, stęknęła—ale stary, uprzedzony zapewne przez żonę, odparł sentencyjnie, że niema gorszej rzeczy dla młodych nad próżnowanie.

Trafiło się nareszcie, że, powróciwszy zła z miasta, Franaszkowa zastała Justkę nad elementarzem i rzuciła go w piec, bo jej kołnierzyki i mankiety nie były odprasowane.

Sierotka zaczęła myśleć o sobie; widziała, że Franaszkowie dla niej nic się nie starali znaleźć, nie szukali, i mowy nawet o tem nie było. Do Julisi się zgłosić nie miała sposobu, poradzić się nie było z kim. Popłakiwała znowu.

Całą jej pociechą bywało tylko, gdy jejmość, która na starą kucharkę w zakupach się spuścić nie mogła, posyłała ją na miasto; naówczas mogła odetchnąć, popatrzeć, spocząć jakąś chwilę swobodniej. Trafiło się to dosyć często.

Jednego dnia powracając rano z targu za Żelazną Bramą, zatrzymała się trochę Justka w Saskim Ogrodzie. Ranek był bardzo piękny, chory pili wody, przechadzając się, życie jakiegoś szczęśliwszego, jaśniejszego uśmiechało się tu sierocie. Dzieci i dziewczątka jej wieku, które tu spotykała, tak wydawały się rozpromienionymi, tak były wesołe, rade ze świata i z siebie!

Justkę ten obrazek tak zajął żywo, iż pomimo pośpiechu, jaki jej zalecano, zatrzymała się trochę, nie mogła się od niego oderwać.

Było więc inne życie na tym samym świecie, nie ciężące takim brzemieniem już od dni młodych. Cóż byli ci wybrani, którym udział w niem się dostał?

Dlaczego oni tylko, a nie wszyscy? Dziecko smutnie tak marzyło, gdy uwagę jej ściągnął siwowłosy, miłego bardzo oblicza starzec, który siedział na bocznej ławeczce zadumany, sparty na lasce. Opierając się na niej, patrzył tak po ogrodzie, po ludziach, gdy nagle laska mu się z rąk wysunęła, upadła na ziemię. Staruszek ruszył się z ciężkością, aby ją podnieść, ale osłabłe nogi się zachwiały i padł na jedno kolano, a byłby całkiem się obalił, gdyby Justka, śpiesznie podbiegłszy, nie podchwyciła go z całych sił pod rękę a drugą laski nie podała. Wykonała to tak zręcznie i prędko, że mocno przestraszony staruszek, chociaż mówić nie mógł, zaczął się wdzięcznie uśmiechać. Krew uderzyła mu do głowy, potrzebował długiej chwili, nim zupełnie przyszedł do siebie.

Justka, spełniwszy tę posługę, już się oddalić chciała, gdy stary, mocno ją pochwyciwszy za sukienkę—zatrzymał. Mówić nie mógł jeszcze, ale dawał jej znaki, ażeby nie odchodziła. Sądząc, że jeszcze pomocy jej potrzebować będzie, choć śpieszno jej było, musiała przy nim pozostać.

Odetchnął parę razy ciężko, pokaszlał, otarł ręką drżącą pot z czoła i uśmiechając się łagodnie do Justki, rozpytywać ją począł.

Na Justce czynił szczególne wrażenie. Zdawało się jej, że nigdy w życiu takiego człowieka nie widziała, nie słyszała głosu podobnego. Stał przed nią jak jeden z posągów świętych w kościele, z twarzą taką dobroci serdecznej pełną, iż nie trzeba było czasu wiele, aby go poznać; cała dusza była w obliczu i głosie.

Z czułością wpatrywał się on w Justkę i trzymał rękę białą, drżącą na jej ramieniu, jakby się obawiał, aby mu nie uciekła. Oczywiście, może

skutkiem przestachu i znużenia, pływały we łzach.

Dziewczę, jak przed księdzem na spowiedzi, nie wahało się ani na chwilę o sobie powiedzieć od początku życia, aż do tych dni ostatnich... wszystko a wszystko.

Tak jej było miło, lekko zwierzyć to starcowi, słuchającemu ze współczuciem, rozpytującemu o szczegóły.

Nigdy nikt jeszcze tak jej nie słuchał, tak się losem jej nie zajmował. Chciał wiedzieć jak teraz jej było, co obiecano na przyszłość, nie puszczał dziewczęcia od siebie, a Justka też, choć opóźniła się mocno, nie miała siły odejść, tak się czuła pod opieką, pod okiem tego nieznajomego bezpieczną i spokojną.

Rozmowa przedłużała się, jakby umyślnie, staruszek na ramieniu jej trzymał rękę—gdy z ogrodu nadeszła ze szklanką wody, kobieta niemłoda, ubrana jak dostatniego domu sługa, z twarzą na wzór pana, pełną wyrazu dobroci.

— Patrzaj-że, Marto moja—odezwał się do niej już zdala stary.—Gdyby nie ta mała, leżałbym na ziemi i nie byłoby mnie podnieść komu,—a ciężki jestem.

Nadchodząca postawiła szklankę na stolicku i ręce załamała, ciekawie się wpatrując w Justkę. Stary i ona dawali sobie jakieś tajemnicze znaki; Marta, zdziwiona, zbliżała się coraz do sieroty.

Staruszek tymczasem opowiadał jej wesoło swoją przygodę: jak laska mu upadła, noga się osunęła i on już jednym kolanem był na ziemi, gdy Justka go tak zręcznie chwyciła pod ramię i podniosła.

A wśród tej opowieści on i Marta ciągle sobie dawali znaki, z podziwieniem jakimś i prawie radością patrząc na sierotkę. Z kolei Marta rozpytywać ją chciała, ale stary, który już wiedział wszystko, sam ją objaśniać zaczął.

Wybijająca godzina, przestachem napełniła Justkę, która chwyciwszy koszyk, pocałowała w rękę staruszka i chciała biec do domu, bo się spóźniła bardzo, i wiedziała już, jaka ją tam burza i wymówki czekały.

Marta usiłowała ją zatrzymać, Justka powiedziała otwarcie, że się lęka.

— Inaczej to zrobić trzeba—rzekł, mrugając na kobietę, staruszek.—Podaj mi rękę i zaprowadź do dorożki, pojedę do domu, a ty, albo pieszo albo w dorożce też, odwieź to dziecko do jej opiekunów.

Tu pochylił się do ucha Marty i dokończył instrukcyi pocichu, a zwróciwszy się do Justki, dodał:

— My się zobaczymy, moja kochana, więc nie żegnaj, a za to, żeś mnie uratowała od upadku, będę się starał odwdziżyć.

Justka, chociaż jej błogo było z tymi ludźmi i przeżyła chwilę tak szczęśliwą, jakiej w życiu nie pamiętała, zasmuciła się bardzo teraz, przewidując skutki, jakie opóźnienie pociągnie za sobą.

Zwierzyła się z tego nawet towarzyszącej jej starej Marcie, która zapowiadała, że potrafi ją uniewinnić i wytłómaczyć. Wciążu zaś jazdy na Bednarską ulicę, nie przestawała się rozpytywać, badać i zakończyła tem, że jeśli Justka lepszego miejsca nie znajdzie, ona ją sama chce wziąć do siebie i będzie razem z nią na usługach u tego starego dobrego pana, do którego los ją zbliżył w ogrodzie.

Justka na samo wspomnienie takiego szczęścia obawiała się szaleństwa. Całowała Martę po rękach i kolanach.

— A! weźcie mnie! weźcie do siebie!

Staruszek i panna Marta wydawali się jej po innych ludziach aniołami.

— Sama się w to nie wdawaj—dodała w końcu Marta—ja pogadam i postaram się, aby to doszło do skutku.

Stanąwszy przede drzwiami Franaszkowej, znaleźli ją samą, w progu, z rękami na bokach, czerwona, nadąsaną, widocznie oczekującą na nieśczęśliwą swą ofiarę. Zdziwienie było ogromne, gdy zobaczyła ją wysiadającą z dorożki, w towarzystwie poważnej i dostatnio ubranej kobiety.

Panna Marta, wytrawna i doświadczona, umiała sobie z ludźmi dać radę; nim Franaszkowa przemówiła, rozpoczęła sama opowiadanie i tło-

maczenie. Choć kwaśna i nachmurzona, nie miała na to co odpowiedzieć jejmości,—i rada nie ra—wprawdziła do mieszkania przybyła p. Martę.

Strwożona jeszcze Justka, nieśmiało wejść do pokoju, pozostała w kuchni i nie słyszała co z sobą mówiły. Uważała tylko, że potem, odprowadzając ją p. Martę, Franaszkowa była z wielkim dla niej uszanowaniem.

Justka przybliżyła się, aby ją pożegnać; a ona, całując w głowę, szepnęła do ucha:—Ja tu wkrótce powrócę.

Po wyjeździe p. Marty, nie myśląc o łajaniu i wyrzutach, Franaszkowa kazała sobie opowiedzieć przygodę całą w Saskim Ogrodzie, opisać starego, powtórzyć jego wyrazy—i ruszała ciągle ramionami.

Wkrótce potem przyszedł do domu na spóźniony obiad sam Franaszek i temu trzeba było znowu opowiadać, opisywać, powtarzać toż samo.

Franaszkowa wygadała się głośno z tem, że stary ów pan chce niby Justkę wziąć na swą opiekę, dodając z przekąsem: że laska pańska na pstrym koniu jeździ, że juści jej tu u nich źle nie było i głodem nie marła.

Widać było, że nie radzi się jej teraz pozbywać, lecz myśleli o wyciągnięciu z tego jakiejś korzyści dla siebie, że ją oddadzą.

Przez dni parę p. Marta się nie zgłaszała i już Justka wątpić zaczęła, ażeby się piękne obietnice ziściły, gdy po południu zajechała dorożka, przyjechała Marta i po półgodzinnej rozmowie z Franaszkową kazano się Justce wybierać.

Dziewczę z sercem wdzięcznym pośpieszyło pozbierać gałganki, podziękowało obojgu Franaszkom—i—p. Marta zabrała ją z sobą.

Miała słabość p. Franaszkowa potem powtarzać: że się Justce poszczęściło, spotkał ją bowiem los, jakiego się nigdy spodziewać nie mogła.

Staruszek ów był osierocony i bez rodziny, stęskniony zatem, ażeby się do kogoś mógł przywiązać. Traf zrządził, że ta Justka, która tak w porę podbiegła mu na pomoc, przypominała twarzyczką i rysami ostatnią wnuczkę straconą. Dwie razem okoliczności mówiły za sierotą: to jej podobieństwo i rzucenie się do staruszka w chwili, gdy potrzebował pomocy. Stary pan baron Raun, obywatel z Infant, wskutek poniesionych strat i cierpień, podrażniony niemi, stał się niemal zabobonnym. Wyobrażał więc sobie iż był w tem palec Opatrzności, która mu umyślnie sierotę nastreczyła, aby dać jakąś pociechę.

Od pierwszej chwili powiedział sobie, że powinien był zająć się jej losem.

Pocziwa stara sługa, Marta, widząc go oddawna tak w nieuleczonym pograżonego smutku, że go nawet na chwilę nie rozerwać nie mogło, chwyciła się tej myśli, poczęła do spełnienia jej zachęcać, i tak Justka znalazła nagle, nietylko opiekuna, ale przyszłość najświetniejszą, otwartą przed sobą.

Od wstąpienia na próg domu barona Rauna, nakarmiona, upieczona, stała się przedmiotem troskliwości jego i panny Marty. Niczem się tu nie zajmowano, tylko nią. O użyciu jej do robót, do posług, mowy nawet nie było. Ponieważ miała chęć do nauki, baron zaraz zajął się wyszukianiem nauczycielki. Marta tymczasem od stóp do głów musiała ją nanowo oporządzać, gdyż od Franaszków przyniosła tylko strzępki i łachmany.

Szczęście takie po długich latach utrapień i nędzy, zaprawdę mogło nawet daleko dojrzalszą głowę i umysł niemal do szaleństwa upoić. Któż z nas nie powiada sobie, że zasluszył na to, co mu szczęśliwego los zysła? Nigdy do winy się nie przyznajemy, lecz do nagrody zawsze rościmy sobie prawa. Justka mogła powiedzieć w duchu, iż Pan Bóg ją szczególnie umiłował, bo też była tego warta, mogła się wbić w pychę i zarozumiałość...

Jak się to stało, że jej pieszczoty starego barona nie popsule? trudno wytłómaczyć; była może nadto długo uciśniona i przybita, ażeby nawet zaufać, iż to szczęście potrwa.

Utkwiły w niej przepowiednie Franaszkowej

o pstrym koniu i przebakiwaniu, że kaprysy pańskie niedługo trwają, że, jak dziś ją pieszczą i głaszcząc, tak jutro mogą wypchnąć na ulicę.

Justka wistocie więcej obawy miała niż zaufania w przyszłości — ale robiła z siebie co tylko mogła, aby staremu baronowi, p. Marcie przypodobać się, być powolną, myśli ich odgadywać.

Pierwsze dni dla starego barona szczególnie były jakby odżywieniem i powrotem do dawno zapomnianego stanu, od dosyć długiego już czasu osamotniony, chory, nie miał się czem zająć, męczył się, nudził, ciążyło mu życie. Nagle ta sierotka, której los wziął na siebie, myśli jego zwróciła w innym kierunku.

Panna Marta postrzegła uśmiech dawno niebывały na twarzy; nie skarżył się, posyłał, zapisywał coś, przywoływał Justkę, badał ją, cieszył się, najmnieszymi szczegółami dotyczącymi jej gorąco się zajmował. Marcie usiedzieć nie dał w miejscu, a dzień upłynął szybko. Niepostrzeżony, i baron zasypiał potem prędko i spokojnie czego oddawna nie pamiętano.

Następnych dni przybywały polecane nauczycielki, przynoszono sukienki, przebierano, myto, czesano, trefiono dziecko zaniedbane od dzieciństwa. Baron o każdy szczegół się dowiadywał i nie nie uszło jego troskliwości. Podobieństwo do ostatniej wnuczki coraz bardziej znajdował uderzającym.

Stara panna, niegdyś guwernantka, teraz już żyjąca z proceniku od uzbieranego kapitału i odpoczywająca od lat kilku, nakłonić się dała do kierowania nauką i przychodzenia na godzin kilka codziennie do Justki. Baron byłby ją wziął nawet do domu, ale trochę zdziwaczała panna Jolanta, nie dała się nakłonić do tej, jak ją zwała niewoli.

Oprócz tego położyła za warunek, że jeśli uczennica nie okaże zdolności, a charakter jej nie podobna się nauczycielce, będzie miała prawo oddalić się choćby po miesiącu.

Nie trzeba z tego wnosić jednak, aby panna Jolanta zbyt była trudną i wymagającą, owszem, łagodna i wyrozumiała, żądała tylko w uczennicach ochoty do nauki i serca, któreby zapowiadało umiłowanie prawdy, a piękna. Marzycielka, poetka, panna Jolanta tyle w życiu doznała zawodów i zmarnowała pracy i trudu, iż do ofiar nadaremnych nie miała już popędu, a w poprawę nie bardzo wierzyła.

Ale Justka od pierwszych dni zyskała sobie jej serce miłością nauki i pragnieniem oświecenia się, chciwością jakąś do przyswojenia sobie co najwięcej.

Panna Jolanta obawiała się tylko, aby ta gorączka nie przeszła, i powstrzymywała zapędy.

Można sobie wyobrazić, ile było do czynienia z takim dziewczęciem, które wzrosło między krendsem, garderobą i kuchnią, a nagle przesadzone zostało do salonu.

Począwszy od chodu i mowy, wszystko reformować musiano. Nie umiała nic, ale instynkty były dobre. Śmiała się panna Jolanta, panna Marta, a baron Raun utrzymywał, że zrobiła postępy niesłychane.

Powróćmy na chwilę do Baranówki, i spójrzmy, jakie następstwa pociągnęła za sobą ucieczka sieroty.

Tak dalece nikt się nie domyślał i nie przypuszczał, iżby coś podobnego dokonać się mogło, że gdy zrana powstawały dziewczęta w garderobie, panna Hanna i Sędzina, gdy zycie zwykłym trybem się rozpoczęło — wprawdzie obejrzano się, iż Justki nie było, ale posądzono, że wybiegła albo łasować w ogrodzie około agrestu, albo na tok do wuja. W końcu jednak po kilku godzinach kiedy szukać jej, wołać, posyłać po nią poczęła panna Hanna, a nigdzie ani śladu nie znaleziono. Wuj zaś oświadczył pod przysięgą, że na oczy jej nie widział, — Sędzina się nastraszyła.

Znała żywość i krnąbrność dziewczęcia, obawiała się jakiego nieszczęścia, przysłała jej na myśl dziewczyna, która przed laty kilku, przesładowana przez ekonomową, w stawie się utopiła.

Na wszystkie strony porożysłano szukać i pytać, ale napróżno. Dziewczęta odkryły, że w kufku wiele drobnych rzeczy brakło, chustki du-

żej i rozmaitych podarków od gości. To dawało do myślenia, że — mogła uciec.

Dokąd?

Posłano arendarza do miasteczka, wuj siadł na koń niespokojny, od wioski do wioski jeżdżąc i rozpytyując po chatkach i karczemkach.

Tegoż dnia po południu, naumyślnie, ażeby się przekonać, co się dzieje w Baranówce, przyjechała w odwiedziny Porochowa, czulsza i serdeczniejsza, niż kiedykolwiek.

Sędzinę to kolnęło.

— Oho! już wie Porochowa!

Wyszła do niej z twarzą, którą usiłowała uczynić łagodną, postanowiwszy o wypadku ani wspomnieć. Przyjaciółka też, która z sobą przewiozła córkę, dla towarzystwa panny Rozalii (Sędzianki), zdawała się stęsknioną za sąsiadką, rozmiłowaną w niej, a niezmiernie troskliwą o wszystko, co się działo w tej Baranówce, której gospodarstwo, życie, zarząd cały wzbudzały w niej uwielbienie i zazdrość.

— Już to nam uczyć się u pani Sędziny dobrodziejki — mówiła. — Żaden-by mężczyzna nie potrafił i w interessach i koło roli i wszędzie takiego utrzymać porządku. My tylko patrzmy, zazdroszcząc.

Sędzina, krzywiąc się, przyjmowała to kadzidło, którego woń dwuznaczną czuła.

Porochowa była tak zuchwała, że nawet obchodzenie się z ludźmi i dobroć Sędziny chwaliła, oskarżając siebie, że ona z tą hałastrą, inaczej jak rygiorem nie umie sobie radzić. Narzekała na sługi.

Sędzina nic nie odpowiedziała. Przyniesiono kawę.

W ciągu tej rozmowy pauny dwie, równie się kochające, jak matki, mniej zręcznie brały się też na spytki i wypaplała się panna Rozalia, że ten szurkot, ten nicpoń Justka prawdopodobnie niewiedomo dokąd uciekła, a panna Leokadya nie umiała się z tem utaić, że już o tem — wiedziała.

Po kawie, nasyciwszy się nią i frasunkiem Sędzinki, pani Porochowa odjechała wielce uradowana.

Drobny ten wypadek, któremu każdy mógł nadać znaczenie, jakie chciał, lotem błyskawicy rozszedł się po sąsiedztwie.

Niebardzo ukochaną była Sędzina, naturalnie więc skorzystano z tego, aby ją oczernić, wystawić jako kobietę nielitościwą, nieznosną, jako jedząc. Porochowa broniła sąsiadki, a umiała tak stawać w jej obronie, że się jeszcze wydawała czarniejszą. Nie oskarżała serca, obwiniała temperament nieznosny, nieukrócony i dawała do zrozumienia, że nieboszczyk Sędzia padł jego ofiarą, choć żona go kochała. Uczyniono z bielszej gderliwej kobiety złośnicę i passionatkę, której strzedz się należało.

Ciekawsi poczęli przybywać do Baranówki, aby się dowiedzieć z własnych ust obwinionej, co mogło być powodem takiego wybryku biednej dziewczyny, o której losie nikt nie wiedział.

W rozpacz był wuj biedny, płakał jak bóg, w duszy obwiniał Sędzinę, ale i siebie razem, bo powinien był, gdy mu się skarżyła sierota, starać się ją gdzieindziej umieścić. W dodatku Sędzinka miała do niego srogi żal, że nie zapobiegł temu — o czem on wcale nie wiedział, na co poprzysięgał. Stary, który na całym szerokim świecie nie miał nikogo tylko jedną tę Justkę, na samą myśl, że mogła sobie w rozpacz odebrać życie, szalał biedny, wyrzucał sobie, iż gdy raz ostatni przychodziła się skarżyć, nie porzucił służby i nie poszedł precz, zabrawszy ją w świat. Miał uciutych około tysiąca złotych, zdawało mu się, że z tem długoby żyć byli mogli.

Wyplakawszy stare oczy, do służby stracił ochotę, energią i sam widział, że mu teraz z kupy odkradano ziarno, a nie dbał już o to.

Sędzina gderiała i odgrażała się.

— Niech mnie wypędzi! — mrucał — no, to co? — pójdę! Poszła ona, i mnie tu nie ma co robić.

Włóczył się jednak stary i nie odchodził.

Czas jakiś upłynął, nie wyjaśniła się tajemnica zupełnie, lecz współudział w ucieczce pani Porochowej przez wygadanie się popijanemu sta-

rego fernala został zdradzony. Była to jeszcze plotka tylko, wszakże łączyły się z nią takie szczegóły, iż wyssane z palca być nie mogły. Ponieważ Sędzinka musiała o wszystkim wiedzieć, a panna Hanna miała rozliczne wiadomości, pierwsza więc ona przyniosła swej pani zeznanie fernala.

Sędzinie się oczy zapaliły, klasnęła w ręce.

— A co! — zawołała — nie mówiłam! była w tem przyjacielska rączka mojej kochanej sąsiadeczki. Mnie też to zaraz uderzyło, iż naza-jutrz po ucieczce — tyc... i ona już tu jest. Chciała poniuchać, co u mnie czuć!

Sędzinka, jako żywo, nie domyślała się wprzódy udziału sąsiadki, ale miała zwyczaj zawsze po wtargać: — A nie mówiłam!

Serdecznie chciała się zemścić, ale jak? — to potrzebowało namysłu. Tymczasem w sercu na rachunek pani Porochowej zapisano Justkę.

Z garderoby od panny Hanny owa plotka o fernalu dostała się do starego wuja, którego dziewczęta poszły spytać: czy on o tem nie wiedział? Gumieny się przeżegnał.

— Jako żywo! nie wiem nic!

Ale nazajutrz na koń siadł, do karczemki Zdunowskiej, w której starego fernala często nad półkwatę widywał.

Przy karczemce tej był młynek wodny, więc zajazd ciął, wyszynk duży, gości zawsze wesółych dosyć i stare fernalisko lubiło sobie tu podwiesić się.

Gumienny znalazł go tym razem. Wiedział, że wprost go badając, nic z niego nie dobiedzie, ale przysiadł się, wódki kazał dać i naprzód go spoił.

Dopiero, gdy dworakowi już w starej głowie się zmąciło, poczęł ciągnąć z niego gumieny ostrożnie. Fernal albo nie wiedział lub zapomniał, że dziewczę było siostrzenicą gumienego.

W rozmowie o sąsiedzkich stosunkach coś mu się wymknęło, ale gdy gumieny, za tę nitkę pochwyciwszy, chciał dalej badać, fernal usta zamknął i ani mruknął.

Nie ulegało dla niego wątpliwości teraz, że Justka żyć musiała i gdzieś była umieszczona przez Porochową, a że wiedział o jej siostrze, wpadł na tę myśl, iż mogła się u niej znajdować.

Stary tak kochał to dziecko, iż, choć mu bardzo było trudno się oddalić, wyprosił u Sędziny pozwolenie pojechania na odpust. Zamiast do kościoła puścił się do zupełnie sobie nieznajomych ludzi, do Powitowskich.

Poszczęściło mu się, znalazł samą jejmość w takim usposobieniu dla siostry, iż wcale tajemnicy czynić nie myślała z tego, co się jej tyżyło.

— A no — odparła — co prawda to prawda! Przysłała mi jakąś sierotę, ale u mnie nie szpital; łzieci mam dosyć, nie mogłam jej hodować. Powieźli ją potem do Warszawy. Nie wiem co się z nią stało.

Na miejscu będąc, stary dotarł aż do Julisi; od niej się dowiedział, że Justka dostała się do Warszawy, a ekonomowa zarazem upewniła go, że jak u Pana Boga za piecem, ma i pieczone i warzone, że tam ją Franaszkowie jak własne dziecko pieszczą, że jej chyba ptasiego mleka braknie i t. p.

Staremu się lżej na sercu zrobiło, do kolan aż przypadał Julisi, dziękując jej za miłosierne serce, i powrócił do Baranówki tak dobrej myśli, wesół, odmłodzony, iż Sędzinka to odpustowi i pobożności jego przypisywała, jako cud.

Nie wydał się jednak z tem, co wiedział, stary, teraz tylko już rozmyślając, czyby mu jakim sposobem, z transportem, z kimś, z czemś, jakoś nie podobna było dostać się do Warszawy i Justysi zobaczyć!

Kilka lat upłynęło od zniknięcia sieroty z Baranówki, a o biednej takiej istocie, ażeby zapomnieć zupełnie, tak długiego nie potrzeba czasu. Pamiętała o niej tylko mocno już postarzały i nogami suwający gumieny, który jednakże z szuflą i miotłą pozostawał na stanowisku w stodole, bo Sędzinka zmieniać sitek nie lubiła. Cza-

sem z urazą może wspominała o niej sama jejmość, czując w duszy, że źle nie życzyła sierocie, ale zaszkodziła i zaostro się z nią obchodziła. Nazywała ją niewdzięczną i głupią. Pani Porochowa, przypominając sobie zabawny figiel, który spletała sąsiadce, cieszyła się, że się jej powiódł, a nie sądziła, ażeby Sędzina o współudziale w tem miała jaką wiadomość. Panie obie pozostały z sobą na tym samym stopniu przyzwyczajonych sąsiedzkich stosunków, jakie je oddawna łączyły.

Baranówka nigdy nie potrzebowała od Zdunowa, a Zdunów niekiedy uciekał się o rozmaite małe na przednówkach pożyczki, które Sędzinka chętnie czyniła, aby okazać, jak była zasobną i opatrzoną.

Dwie panienki dorastały, widując się w kościele, na plebanii, czasem odwiedzając, ale ściślej — przyjaźni, między rówieśniczkami naturalna i pożądana, zawiązać się nie mogła, bo obie od matek nasłuchiwały się wszystkiego, co zrazić mogło i zniechęcić. W obu domach byli też kawalerowie: u Sędziny syn ukochany pan Leon, dorastający i pod wussem, w Zdunowie pan Aureli. Chłopcy pomiędzy sobą, spotykając się częściej na polach i w lasach, na poufalszej byli stopie.

Jeden i drugi, na wsi innego nie mając towarzystwa, potrzebowali się nawzajem, a choć matki na to krzywo patrzyły, odwiedzali się w officynach, polowali razem i wymykali się do miasteczka.

Sędzinka i pani Porochowa nie były temu rade, a gdy młodzież im się przedstawiała, poddawały ją ostrej krytyce.

Porochowa znajdowała, że Leon, „czysta mamonia“, był gdera, złośliwy, szorstki i niemiły w towarzystwie; Sędzinka w panu Aurelim widziała matkę też nieopatrzną, złą gospodynię, płochą i chytrą.

Panienki miały może o nich inne wyobrażenie i byłyby się chętnie zbliżyć dozwoliły — ale mamy miały na to oko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1885 r.

Ciężkie czasy. — Herbaciarnia ludowa. — Dom przytułku dla podupadłych kupców. — Antidotum przeciw socjalizmowi. — Inauguracja nowego gmachu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. — Nowości literackie: *Paulina, córka Ewy Felińskiej*, przez księdza Szczęs. Zygma. Felińskiego. — Nowe wydanie pośmiertnych *Fism Słowackiego*, przez profes. Małeckiego. — *Rozbiór Pana Tadeusza*, przez Biegeleisena. — *Książeczki ludowe*. — Sprawozdanie centralnego Zarządu „Kółek rolniczych”, z lustracji gospodarstw włościańskich, połączonych z nauką rolnictwa. — *Nasi rówieśnicy*, przez Władysława Belzę. — *Zamki i kościoły*, opowieść historyczna dla młodzieży, z ilustracjami Juliusza Kossaka

Nowy rok nie zapowiedział się niczem wesołym. Łagodna zima, pomimo, że tak ogólnie się dotąd z nami obchodziła, nie ulżyła ubóstwu, ani temu, co kryją się poza blichtrzem powierzchownej zamożności, przybiera pozory dostatku, ani temu, co prosto ręką po grosz jałmużny wyciąga na ulicy. Nieurodzaj, niskie ceny zboża, powódź wiosenna i tym podobne klęski, których nam tutaj nie oszczędził rok ubiegły, przynębiły kraj ekonomicznie, a fatalne tego skutki odbijają się na nas w mieście. Handel ustał prawie. Kupcy w rozpacz, uskarżają się, że nikt nie kupuje, i pocieszają się tem jedynie, że z postępem karnawału, z grzotem muzyki balowej, i dla nich pomyślniejsza błysnie pora. W księgarniach nie sprzedano i połowy tego, co zazwyczaj w porze świątecznej sprzedaje się z wydawnictw ilustrowanych i książek dla młodego wieku. Jedne tylko sklepy zabawek wyszły jakotako w tym powszechnym zastoju; bo któż w najcięższych nawet czasach pożałuje wedle możliwości grosza, chociażby ciężko zapracowanego, ażeby uśmiechem radości rozpromienić twarzyczkę ukochanego dziecięcia na gwiazdkę? Nas, stare dzie-

ci, zabawki nasze drogo kosztują, a jednak wyrzucamy na nie częstokroć nieogłędnie i grosz i sumienie, byle dogodzić ambicji i rozmaitym, aż do śmieszności posuniętym, wymaganiom światowym. Gdyby nie te słabostki, ileżby dobrego uczynić można! Sposobność na każdym nasuwa się kroku, czy to na polu dobroczynności publicznej, czy w kierunku przemysłowym, ekonomicznym i t. p.

Przytoczę piękny przykład filantropii, szukającej sposobów ulżenia niedostatkowi uboższych warstw ludności. Czterech tutejszych kupców, mojżeszowego wyznania, wpadło na pomysł, którego pozazdrościć im mogą wszystkie towarzystwa tutejsze dobroczynne: założenia „herbaciarni ludowej”. Pomysł to nie nowy, ale u nas po raz pierwszy w życie wprowadzony, funduszami na ten cel przez owych czterech założycieli, na początek ofiarowanymi. W biegu czasu znajdzie się zapewne większa liczba osób, które zechcą dopomóc do utrzymania tego zakładu, widząc pożyteczne jego działanie, o tem zaś przekonywa najlepiej mnóstwo niezamożnej ludności, bez różnicy wyznania, cisnącej się tutaj codziennie gromadnie w każdej porze. Dostają za centa szklankę ciepłej dobrej herbaty, a za dwa centy szklankę herbaty z dużą bułką dwucentową. Ażeby przystęp do zakładu umożliwić osobom niekoniecznie do ostatniej nędzy przywiedzionym, urządzono osobną izbę dla niezamożnych akademików, urzędników i t. p., którzy w tym porządnym i ocieplonym zakładku, tanim kosztem dwóch centów mają śniadanie lub podwieczerek. Widok tej izby przekonywa najlepiej, jak dobroczynnem jest w skutkach swych założenie taniej herbaty i jak szeroko grasuje niedostatek w kołach ludności miejskiej. Całemi rodzinami przybywają tu rzemieślnicy zwłaszcza i mnóstwo osób obojej płci, o których, sądząc pozornie z ich towarzyskiego stanowiska, nie można by poznać, że grosz oszczędzony na śniadaniu w herbaciarni ludowej, znaczną rubrykę dla nich stanowić może. Obok zupy rumfordzkiej i kuchni ludowej jest tania herbaciarnia wielkiem dobrodziejstwem w obecnej porze zimy i niedostatku, tembardziej, że nie ogranicza się, jak tamta, na najuboższe warstwy ludności, ale jak widzimy z tego, co się wyżej powiedziało, obejmuje swym zakresem także szersze koła rękodzielnicze i niezamożnej inteligencji.

Drugim przykładem prawdziwej filantropii, trwalszego, niż poprzedzający, znaczenia i większej doniosłości, jest zapis bogatego przemysłowca tutejszego Roberta Domsa — stu tysięcy guldenów na założenie domu przytułku dla uciśnionych wiekiem, niezdolnych już do pracy podupadłych kupców. Doms przed laty czterdziestu był ubogim z Prus do Galicyi. Przez dobrze prowadzone przedsiębiorstwa przemysłowe, zapobiegliwość i pracę, przyszedł do wielkiego majątku do czego posłużyło mu głównie założenie pierwszego młyna parowego w Lwowie. Dzisiaj, w podeszłym już wieku usuwając się z pola pracy, aby spokojnie używać jej owoców, zapisem powyższym chciał się niejako odwdziżyć krajowi za te uzbierane tutaj owoce i stworzył fundację, w której piękna, zaiste, pozostawia pamięć po sobie. Na Nowym Świecie, w położeniu pięknem, prawie wiejskiem, pomiędzy ogrodami, w znacznem od miasta oddaleniu, rozpoczęto budowę gmachu przeznaczanego na pomieszczenie zakładu, w którym starcy przeciwnościami losu znękani znajdą swobodny wypoczynek, wytchnienie po powszednich życia kłopotach. Gdyby podobnie pomyślano o zabezpieczeniu spokojnego przytułku na starość pracowitym i zasługującym na to rzemieślnikom, byłoby to niezawodnie silną pobudką do pracowitości i uczciwości, i najlepszym antidotum przeciw kiełkującym zarodkom socjalistycznych zachcianek, które można by tym sposobem najskuteczniej stłumić; nadzieja bowiem i pewność spokojnego przytułku na starość, powstrzymałaby każdego robotnika od karygodnych zbroczy z drogi wytkniętej sumieniem i porządkiem społecznym. Przed laty trzydziestu potrzeba krzewienia oświaty w zaniedbanych umysłowo warstwach młodego pokolenia skłoniła u nas wszystkich, prawie chcących czynić zapisy na cele publiczne, do tworzenia fundacji stypendyj-

nych dla młodzieży szkolnej, rozmaitych znajdujących się w kraju szkół publicznych. Fundowanie stypendyów stało się u nas od lat trzydziestu powszechnem hasłem, pochodzącem z przeświadczenia o pożyteczności tego rodzaju zapisów. Doszło niemal do tego, że nikt nie umiał inaczej zarządzić swym spadkiem, przeznaczonym na cele publiczne, jak pozostawić go jako legat na stypendya; kto chciał się zasłużyć krajowi fundował stypendya. Chwalebna ta dążność ogarnęła wszystkich swym prądem i pociągnęła w tym jednym kierunku, z uszczerbkiem innych niemniej ważnych celów. Dzięki tej, powtarzam, chwalebnej gorliwości o oświatę młodych ubogich pokoleń, posiadamy już dzisiaj aż nadto dostateczną liczbę stypendyów, tak, iż w niektórych zakładach naukowych, jak np. w Szkole Dublańskiej są uczniowie po kilka naraz pobierający stypendyów, które inaczej pozostałyby nieużytkowanymi. Dzisiaj już ze spokojnem sumieniem może się ofiarność zapisodawców w inną zwrócić stronę, aby inne znów leczyć rany społeczne, i innym zapobiegać niedostatkom. Ułatwiwszy drogę oświaty młodzieży, niemniej chwalebnie będzie przynieść ulgę dolegliwościom tych, co pocziwają pracą rękodzielniczą całego życia pocziwie zasłużyli się społeczeństwu.

Towarzystwo gimnastyczne „Sokół” przeniosło się z końcem roku do własnego nowozabudowanego gmachu, przy ulicy Zimorowicza. Dotąd od czasu zawiązania się przez lat piętnaście mieściło się towarzystwo w najetych domach; co przy powiększaniu się liczby członków coraz stawało się niedogodniejszem, tak z powodu wysokich kosztów najmu, jakoteż i braku dosyć przestronnego miejsca na szkołę i odbywanie ćwiczeń gimnastycznych. Gmach nowy nie jest jeszcze zupełnie wykończony. Pomimo tego przyspieszono przesiedlenie się na nową, własną siedzibę, aby już w ciągu bieżącej zimy mogły się tutaj ćwiczenia gimnastyczne odbywać. Przeznaczona ku temu sala obejmuje 376 metrów kwadratowych przestrzeni i jest największą we Lwowie. Gdy zostanie z wiosną według planu powziętego przyozdobioną, będzie wyglądać wspaniale. Oprócz ćwiczeń gimnastycznych będą się w niej mogły odbywać także bale, koncerty itp., które dotychczas mieściły się w szczupłych stosunkowo salach kassyna miejskiego, lub w sali teatralnej, gdzie im było bardzo ciasno i niewygodnie. Tymczasowa inauguracja nowej sali gimnastycznej odbyła się ze zwykłą w takich razach uroczystością, poświęceniem gmachu i przemowami, po których nastąpiły ewolucje i ćwiczenia gimnastyczne w sto osób wobec licznie zgromadzonych gości przy muzyce Towarzystwa „Harmonii”. Sala gimnastyczna, oświetlona dwunastu oknami, obejmuje całą wysokość pierwszego piętra, aż do stropu budynku. Oprócz tego znajduje się na piętrze obszerna sala, przeznaczona na naukę szermierki. Skoro cały budynek w ciągu lata zostanie ukończony i urządzony, otworzona będzie także szkoła gimnastyki dla kobiet, tudzież osobne godziny dla dzieci od lat ośmiu, i osobne znów dla starszych, co pomimo sześćdziesiątego krzyżyka na grzbiecie, nie radzi poddać się ułomnościom wieku, w gimnastyce zechcą szukać przysporzenia organizmowi sił fizycznych i zdrowia.

Na dar noworoczny otrzymaliśmy wiązkę nowości księgarskich, pomiędzy którymi najpierw zwracam uwagę czytelniczek „Bluszcza” na piękne dzieło księdza Zygmunta Szczęsnego Felińskiego pod tytułem: *Paulina, córka Ewy Felińskiej*, wydane nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Kreśląc życiorys siostry, najstarszej z rodzeństwa, oddać zamierzył autor część cnotom domowym i zasługom zarazem matki i siostry. Sympatyczna to książka, napisana serdecznie i zajmująco. Płynące z uczuć braterskich ciepło udziela się czytelnikowi, ogarnia umysł i zaciekawia, chociaż biografia ta nie zawiera szczegółów nadzwyczajnych, czynów bohater-
skich, dokonanych na szerokiej widowni życia publicznego, lecz w skromnym zakresie obowiązków rodzinnych przedstawia piękny widok cnót, dobroci i ofiarności z prawdziwie bohaterskim poświęceniem i miłością wykonywanej. Czytając, oddychamy atmosferą pełną chrześcijańskiej po-

gody, chociaż zarazem smutną i rzewną. Z treści opowiadania czerpiemy głęboką naukę życia i wzniosły pogląd na powinności kobiety i chrześcijanki. Autor wiąże z niem wszędzie ziarno nauki; na każdej karcie znajduje sposobność rzucenia zdrowej myśli, szczepienia szlachetnych zasad w umyśle czytelnika. Staranność matki o wychowanie licznej gromadki dzieci, przy braku wszelkich ułatwień, w czem jej tylko najstarsza córka Paulina w miarę swych sił i wieku dopomagała, kierunek tegoż wychowania i całe postępowanie matki z dziećmi, szczegółowo opisane, zawiera zdrowe wskazówki pedagogiczne. Obszerny następ poświęca ks. Feliński w dalszym ciągu dzieła mylnie pojmowanej emancypacji kobiet w zakresie niezgodnym z istotą natury kobiecej, ani pod fizycznym ani pod umysłowym względem. Wiele pięknych myśli, nauczających poglądów, wypowiedzianych pięknym, poważnym, potoczystym stylem, cechuje tę książkę, przedstawiającą wiernie z życia zdjęty obrazek rodzajowy, któremu przypatrujemy się z lubością, który swą prostotą i prawdą życia pociąga, chociaż nic nadzwyczajnego w sobie nie zawiera.

Wyszło nowe wydanie *Pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego*, ogłoszonych przez prof. Małeckiego, w trzech tomach, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Starannie przez wydawcę nanowo przejrzone i uzupełnione z rękopisów, zawiera ono oprócz poezji lirycznych i innych romantycznych urywkowych i okolicznościowych, całą niemal, ile się to zrobić dało, uporządkowaną *Podróż do Ziemi Świętej*, wreszcie fragmenta dramatów niedokończonych. Niema tu nic z tych, że tak nazwę, aberracji poetycznych, znajdujących się w stosie brulionów pośmiertnych poety, które wyłaczył prof. Małeki i złożył w bibliotece Zakładu im. Ossolińskich, z kądem część tychże wydał świeżo Biegeleisen. Prof. Małeki—układając do druku pośmiertne wydanie poezji Słowackiego, był bardzo oględnym w ich wyborze. Trafnym sądem artystycznym oceniając to wszystko, co na ogłoszenie zasługiwało, starał się, aby ani jednego pięknego nie uronił z nich listka, a usunąć rzeczy albo wcale niezrozumiałe, albo zanadto urywkowe. w chwilach kaprysu rozigranej gorączkowo chorobliwej fantazyj na papier rzucone. Oględność ta wydawcy wyszła na korzyść niniejszego wydania.

Tenżesam Biegeleisen, utalentowany młody pisarz, oddający się studiom estetycznym i historycznym, wydał w Warszawie obszerny *Rozbiór Pana Tadeusza*. Krytyka warszawska zapewne oceni lub oceniła należyte tę pracę; poprzestaję zatem na krótkiej o niej wzmiance, jako o rzeczy napisanej we Lwowie i przez Lwowianina. Znajduje się tutaj wiele trafnych uwag, objaśniających szczegółowo naturę zawartych w „Panie Tadeuszu” myśli, obrazów i zwrotów poetycznych. Co do mnie, wyznaję, że nie jestem przyjacielem zbyt drobiazgowego anatomizowania poezji, co oczywiście, nie odejmuje bynajmniej zalet pracy p. Biegeleisena, i nie zaprzecza potrzeby krytycznego studyowania wielkich poetów.

Komitet wydawnictwa dzieł ludowych, o którego gorliwej i pożytecznej czynności wspominałem ostatnim razem, wydał z końcem roku *Książeczkę na uroczystość Narodzenia Pańskiego*, ułożoną przez prof. Parasiewicza. Zawiera ona, po słowie wstępem, kazanie księdza Piotra Skargi w dzień Bożego Narodzenia, następnie zbiór kolend najbardziej rozpowszechnionych i najstosowniejszych ku temu, naostatek szturm Szwedów do Jasnej Góry w dzień Bożego Narodzenia. Książeczka, jak widzimy, dobrze złożona, odpowiada zamiarowi. Na szczególniejszą zasługuje uwagę przechowanie kolend w ich pierwotnej czystości, albowiem przez niezrozumienie tekstu przy śpiewaniu zakrada się w nie często wiele niezrozumiałych błędów.

„O czem radzono w sejmie” i „Katechizm obywatelski”, obie książeczki napisane treściwie przez posła Teofila Merunowicza, mają na celu zawiadomić lud o będących obecnie w toku sprawach krajowych, tudzież o prawach i obowiązkach w życiu konstytucyjnym. Ułożona sposobem katechizmowym w pytaniach i odpowiedziach nauka dla ludu w opracowaniu p. Merunowicza objaśnia

dokładnie całą organizację autonomiczną galicyjską, zakres rozmaitych władz i udział w nich wszystkich uprawnionych przez ustawę mieszkańców kraju itp. Książeczka ta ma wiele doniosłości praktycznej; nie tylko bowiem zaznajamia ludność wiejską i mało mieszczańską ze stosunkami krajowymi w zakresie spraw publicznych, ale obudza zarazem w niej świadomość i poczucie obywatelskie.

Zarząd centralny „kółek rolniczych” wydał sprawozdanie o przeprowadzonej staraniem zarządu w ciągu ubiegłego roku nauce gospodarstwa wiejskiego, połączonej z przeglądem gospodarstw włościańskich w *trzydziestu czterech* „kółkach”, w rozmaitych okolicach kraju. Żadne z tutejszych towarzystw nie rozwija się tak szybko i pomysłnie, jak „kółka rolnicze.” Zasługą to jest niezaprzeczenie centralnego zarządu, który, działając swe oparłszy na gruncie praktycznym, umiał przeświadczenie o pożyteczności „kółek” dotykać, że tak powiem, upowszechnić między ludnością włościańską, dopomagając tejże swem pośrednictwem, poradą, a ponieważ i kredytem do zaopatrzenia potrzeb rolniczych i podniesienia gospodarstwa. Dostarcza on członkom „kółek” dobrych gatunków nasienia do uprawy, tudzież rozmaitych narzędzi rolniczych, na wypłatę, zawarłszy w tym względzie pod przystępnymi dla włościan warunkami umowy ze znajomymi w kraju fabrykami maszyn i narzędzi rolniczych itp. Jedną też z najważniejszych czynności zarządu „kółek” są przedsięwzięte przez wysyłanych umyślnie w tym celu w rozmaite okolice praktycznych gospodarzy i nauczycieli lustracy gospodarstw włościańskich, połączone z dostarczaniem zaraz na miejscu szczegółowych objaśnień: jak i w czem które gospodarstwo ulepszyć należy, i jakich ku temu która okolica dostarcza warunków? Okazało się bowiem z doświadczenia, że prelekcy teoretyczne nie są stosowne dla włościan i nie odnoszą pożądanego skutku, gdyż włościanie, niewzwyczajeni do wywodów teoretycznych, nie przywiązują do nich należytej wagi, nie słuchają ich chętnie, a po części i nie rozumieją, podczas gdy nauka wysnuta z oględzin własnego gospodarstwa, zawierająca oparte na tychże jasno—praktycznie wyłożone wskazówki polepszenia tegoż lub zmiany w tym lub owym kierunku, odrazu zajmuje uwagę i przemawia do przekonania włościanina, rozwijając równocześnie pojęcie rzeczy w duchu postępowym. Tę więc metodę nauki gospodarstwa—przyjął zarząd „kółek rolniczych” a ogłoszone obecnie sprawozdanie okazuje, że dokonane przez lustratorów zarządu zbadanie gospodarstw włościańskich w trzydziestu czterech kółkach, połączone z opartą na tychże oględzinach nauką, przyniosło plon pożądaný, zainteresowało w wysokim stopniu ludność włościańską i wielu miejscach rozszerzyło znacznie zakres uprawy rolniczej u włościan, lub nowy jej nadało kierunek.

Młodzież otrzymała także dar noworoczny. Księgarnia Sejfarta i Czajkowskiego wydała z obrazkami Eliasza książkę: *Wasi rówieśnicy* ułożoną przez Władysława Bełzę, z pięknym wierszem wstępnym tegoż. Wydawca „Antologii poetów polskich” i innych podobnych wydawnictw zbiorowych zgromadził i tutaj wybrane z najcelniejszych autorów opisy z czasu młodości znakomitych w historii mężów. Doborem treści i pięknem wydaniem książka ta celuje pomiędzy innymi podobnego rodzaju.

Władysław Zawadzki.

RUCH MUZYCZNY.

Ostatnie trzydzieści lat naszej epoki przyniosły nam tak kolosalne zmiany w poglądach na stanowisko opery i jej kierunek, że nie mogły one przejść, bez zaznaczenia swego wpływu wszędzie, gdzie się wciśnęły. Włochy, pomimo, że były

może najbardziej oddalonymi od tegoczesnych wyobrażeń o muzyce dramatycznej, najprędzej jednak zaczęły przyswajać sobie te nowsze zdobycze. Geniusz Wagnera silnie oddziałał na równie genialnego twórcę Verdi’ego; pod wpływem muzyki wagnerowskiej talent jego zaczął nabierać głębokości i potęgi, aż zabłysnął w dwóch swych arcydziełach: *Aidzie* i w *Requiem*. Wszelako, tak jak Wagner, który, dając systemat zupełnie skończony, nie stworzył szkoły, lecz tylko naśladowców, tak i Verdi będąc sam po części naśladowcą, nie otworzył nowej ery coraz bardziej doskonalącej się sztuce.

Wszyscy młodzi kompozytorowie włoscy, kształcąc się w nowych tych pojęciach i pragnąc iść za prądem, może mimowoli schodzą na te same drogi, które ich poprzednicy tak daleko zasłali; lecz nie mają dość siły, by z zasobem wiedzy, z bogatą obecną techniką sztuki, wzlatywać w dalsze duchowe krainy—słowem: brak im indywidualności, któraby ich ustrzegła, tak jak Verdi’ego, od zbyt otwartego naśladownictwa.

Trzeci już włoski artysta kompozytor potwierdza nam to nasze przekonanie. Po Boiccie, Catalanim, usłyszeliśmy Ponchiello. „Gioconda”, opera tego ostatniego, pomimo, że jest również wyrazem uszlachetnionej włoskiej dawniejszej sztuki, nie jest dziełem genialnym jak *Aida*, a nawet tak śmiało traktowanem jak *Mefisto*, *Boita*—lecz tylko, że tak powiemy, utworem sztucznym, nie płynącym z twórczego ducha przybierającym raczej maskę głębokości, wyszłym ze zdolności wynajdywania efektów. Effekta te, nie można powiedzieć, by nie były silnymi, sympatycznymi, szczęśliwie obmyślanymi, lecz znać sztuczną aplikacją w ich nagromadzeniu i połączeniu. Do takich silnych efektów zaliczamy *Duet dwóch rywalek* z aktu II-go i zakończenie aktu trzeciego; do szczęśliwie obmyślanych, wprowadzenie, nie szablowych, lecz poważnych czynników choralnych; do sympatycznych wreszcie—*Barkarollę barytonową* z aktu II-go i *Gawot* na początku drugiej odsłony w akcie trzecim. To zaś, co daje nam wrażenie braku jednolitości wynikającej z wyższego natchnienia, znajdujemy w arii *Badoera* na początku aktu III-go, w której, zpod maski uczonego postępowca wygląda Włoch, z dawnymi nałogami, wreszcie w całym akcie czwartym, niepotęgującym nie wrażenia, lecz przeciwnie, coraz słabnącym w rozwickłej agonii. Brzydkim zaś, nieestetycznym, jest zwrot udanej teatralnej wesołości *Giocondy*, w scenie ostatniej. Ustępy zbiorowe wyglądają często jak węzki splecionych nitki, rwące się pod niecierpliwą ręką; autor widocznie nie czuje się na siłach, by móżdż szafować bogactwem kombinacji motywów muzycznych, natomiast popisuje się wyborną instrumentacją i chórami rzeczywiście ładnymi. Całość opery jest efektowna, przy trafniejszej obsadzie ról głównych może być mile przyjmowaną na scenie; do treści jej posłużył piękny dramat Wiktora Hugo „*Angelo Malipieri*”; naturalnie, metamorfoza pod libretto operowe nie wyszła na korzyść dramatu, naciąganie rzeczy do akcji, miejscami niesmaczne, postacie zjawiają się niekiedy ni z tąd ni z owąd, jak naprzykład *Gioconda* w akcie trzecim w scenie z *Laurą*; mimowoli śledzi się tę akcją z interessem, jakiego nie jest w stanie obudzić banalna intryga, na tle której rozwijają się przeważnie opery włoskie. Jest to również wielki postęp tegoczesnych kompozytorów; dobry temat dramatyczny idzie ręką w rękę z natchnieniem i umiejętnością muzyką.

Dyrekcya Teatrów zapoznała nas obecnie z jednym z najlepszych skrzypków tegoczesnych, z *Ondrzczykiem*; mówię: zapoznała obecnie, gdyż pierwszy pobyt tego artysty w Warszawie przed trzema laty, wypadł w porze tak niefortunnej dla koncertów, że mała tylko garstka publiczności mogła go słyszeć. Co prawda, nie straciliśmy na tej odwołce, gdyż artysta także czasu nie tracił; obecnie widzimy go już wysoko poza miernością wirtuozostwa. Wykonanie koncertu Beethovena dowiodło niepospolitej zdolności, szlachetnego odczucia dzieł klasyków. *Ondrzczyk* nie celuje grą pełną, potężną, jak *Wilhelmi* lub *Barcewicz*, nie bawi się znów brzmieniem, jak *Sarassate*, ani nie posiada jego namiętności—lecz studyje dzieło

w jego frazach, okresach, charakterze. Każda drobnostka jest wykończoną subtelną, uszanowaną z całą czcią dla sztuki; znać, że artysta posiada do tego niezbędne warunki, to jest dobrą szkołę. Z techniką popisał się w kadencji koncertu Beethovena i w świetnym wykonaniu Paganiniego „La danse des sorcières.”—Dzielo to, bardzo trudne, robiło ongi niezmierny rozgłos, dając miano czarodzieja Paganiniemu, który mając je zagrać, przestraszał skrzypce o pół tonu wyżej i wywoływał zdumienie w niewtajemniczonych słuchaczach. Obecnie, efekt ten nie zdumiewa, nie zadziwia nawet publiczności, znającej sposoby techniczne, umożliwiające wykonanie rzeczy niemożliwych z samej natury instrumentu, jako to: użycie pustych strun i flażoletów, kiedy się naprzykład gra dzieło z tonacji *Es*. To też coraz rzadziej spotykamy te błyskotki na programatach koncertów, tem rzadziej, że gust słuchaczy się wykształca i oprócz gry wirtuoza każdy pragnie posłuchać i dobrej muzyki. Temu ostatniemu żądaniu spragnionych Dyrekcyja Teatrów uczyniła zadość, dając uwerturę koncertową „Morskie oko” Noskowskiego i wspomniała symfonią piątą Beethovena.

Trzeba przyznać, że koncerty Dyrekcyi odznaczają się nie tylko sumienną pracą dyrygenta, jako kapelmistrza, lecz i umiejętnym układem programmatów, w czem również jest jego zasługa.

Juliusz Stettler.

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZĘŚĆ TRZECIA

(L A P L A T A).

II.

Młodość społeczeństwa.—Energia, zapał, przedsiębiorczość.—Stanowisko kobiet i ich wpływ.—Kobieta angielska w rodzinie.—Podobieństwo tutejszej. Młodzież. „Flirtation” i „Temporados”.—Paniny; mężatki.—Kłopoty narzeczonej.—Wyprawy weselne.—Ślub w rodzinie Ocampo.—Pan Andrieux i osada Ocampo w Gran Chaco.—Wycieczka i niebezpieczeństwo.—Ocalenie.

(Dalszy ciąg).

Kolonia p. Andrieux coraz bardziej się rozwija; obok domu, początku postawionego, wznosił się teraz dom obszerniejszy, z całym możnym komfortem urządzony, do którego nowożeńce młodą żonę wprowadził. Siostrzeniec mój jeszcze przed ożenieniem się p. Andrieux, bawił u niego przez jakiś czas, i upodobawszy sobie nadzwyczaj życie wśród ciszy niebotycznych lasów dziewiczych, powrócił tam potem jako pomocnik inżyniera i przez pół roku przemieszkował w Gran-Chaco. Odbывał on z p. Andrieux bardzo dalekie wycieczki, w których nie napotkali żadnych niebezpieczeństw, prócz zabójczych ukąszeń komarów i zdaleka słyszanego po nocach ryku lwów. Zwiedzali także legowiska sąsiednich Indian, takzwanego plemienia Mokowi.

Do ostatniej tej wycieczki przyłączyło się liczne towarzystwo. Generał Henriot, dowódca eskadry wojennej francuskiej w Buenos-Ayres, przyplął na fregacie do kolonii Ocampo, i z ca-

łym sztabem, mając p. Andrieux za tłumacza i przywódcę, puścili się w drogę. Indianie przyjęli podarunki i zgodzili się na zwiedzenie ich obozu, pod warunkiem, że wszyscy broń na statku pozostawią. Bezbronni więc, wylądowali, a widząc przed sobą zupełnie puste legowiska, zaczęli rozpatrywać się wkoło, czy kogo nie zobaczą, gdy nagle, niewiadomo z jakiego jakby co zpod ziemi wyrosło, w mgnieniu oka zostali otoczeni przez niezliczoną masę Indian. Z wyjątkiem tej niespodzianki, dżicy zresztą bardzo grzecznie się zachowali, ale nie mogli oprzeć się pokusie przesilenia o cygara i pieniądze. Cygara panowie z chęcią im dawali; nie ryzykowali jednak pieniędzy z kieszeni wydobyć, z obawy ażeby widok złota nie wzbudził w nich złych zamiarów, tłumacząc się, że pieniądze wraz z bronią na statku pozostawili.

Siostrzeniec mój przywiózł z tych wycieczek piękne dywany wyrabiane z pior kolorowych, zręcznie wykonane łuki ze strzałami, długimi na metr, które często bywają zatrute, wreszcie takzwanego *lasso*, którym bardzo zręcznie rzucają i oydło wykradają; z równą zręcznością potrafią je zarzucać na ludzi, gdy im stają na przeszkodzie, i zadusić w mgnieniu oka człowieka, co im się tem łatwiej udaje, że zdaleka rzucając, nie dają czasu obojej ofierze dojrzeć nieprzyjaciela, a temsamem i bronić się. *Lasso*—jest to długi na kilka metrów, cienki i mocny bardzo sznurek, mający na obydwoch końcach przymocowane kule ołowiane, kule te, trzymając sznurek wposrodku, rzuca się wkoło szyi nieprzyjaciela i dusi z największą łatwością, ciągnąc za sznur pozostały w rękę.

Przywiózł nam także z owych wycieczek siostrzeniec pióra rzadkich ptaków, które sam zabił, najpiękniejsze z nich są: Różowy Flamingo, Ibis i Szare Strusie. Zdobył tych trofeów siostrzeniec mój wraz z towarzyszem, młodym adjutantem generała Henriot, i dwoma majtkami, mało co życiem nie przypłacił. Wybrali się na polowanie na łodzi należącej do fregaty francuskiej i płynęli dość długo, gdy około południa zobaczyli wyspy, które zdawały się być doskonałym miejscem do wylądowania i czcchania na zdobyc; dopływając do nich, łódź zaczęła się o pień ukryty pod wodą i przewróciła się; dostali się jednak na wyspę, ale w chwili kiedy pewni bezpieczeństwa stanęli na niej, uczuli, że grunt usuwa się pod nimi. Były to rzeczywiście trzęsawiska, na których raz stanąwszy, rzadko kto wydobyć się może. Pojeli odrazu niebezpieczeństwo, na które ratunku nie było: stanęli więc w kwadrat, trzymając się skrzyżowanej broni, ażeby tym sposobem więcej oporu stawiać, i z rezygnacją oczekiwali opatrności Boskiej, która cudem ich tylko mogła od pewnej śmierci uratować. Od 11-ej godziny zrana do 7-ej wieczorem coraz głębiej grzęźli, mając odzież całą przejętą wilgocią, a głowy wystawione na żar promieni słonecznych, prostopadle na nich bijących. Coraz ciężiej im się na sercu robiło: żal tak marnie zginąć na samym wstępie życia. Już słońce zaczęło zachodzić a oni po ramiona pogrążeni, stracili wszelką nadzieję ratunku, gdy zdaleka ujrzeli łódź o chorągwi włoskiej: zaczęli wołać ile tylko głosu i sił starczyło i zdolali po długich wysiłkach zwrócić uwagę myśliwych, którzy po całodziennym polowaniu zdążyli do fregaty włoskiej, krążącej także po rzece. Z początku nie chcieli wierzyć, myśleli, że to zaczajeni rabusie chcą ich przyciągnąć w zasadzkę i obdrzeć; ale, na szczęście, jeden z tych panów mówił po francusku i znał doktora fregaty francuskiej: przekonał się więc, że nasi biedacy nie są rabusiami, zbliżyli się do wyspy z największą trudnością i narażając się sami

na niebezpieczeństwo, wydobyli ich z tamtąd, zabrali na swoje łodzie i zawieźli na statek włoski, gdzie ich otoczono wszelką możliwą troskliwością. Tymczasem generał Henriot, niemogąc doczekać się powrotu myśliwych, wysłał łodzie z poleceniem, szukania ich na wszystkie strony, wreszcie zaniepokojony kazał puścić sygnał alarmu, na które po krótkim czasie odpowiedziano zaspakajając ze statku włoskiego.

Prócz kilku dni silnej gorączki wypadek ten tak bliski smutnego końca, nie pociągnął za sobą innych złych skutków, a szwagier mój nim się dowiedział o niebezpieczeństwie, jakim syn jego był zagrożony i jak blizkim był śmierci, dostał telegram, zaspakajający; dopiero później zrozumielismy znaczenie tej depechy z początku wcale dla nas niepojętej.

Kolonia Ocampo będzie wkrótce miała prócz tartaku parowego fabrykę cukru wyrabianego z trzciny cukrowej, która tam wszędzie dziko rośnie. Dotąd w całej Rzeczypospolitej są tylko trzy fabryki cukru, zaledwie mogące zaopatrzyć sąsiednią okolicę; reszta zaś kraju potrzebny cukier sprowadza z Europy: każda więc nowo założona fabryka może być pewną powodzenia; do tej gałęzi przemysłu wiele osób teraz się rzuca. Założenie każdej nowej fabryki ogromnie podnosi okolicę, szczególnie w prowincjach południowych, gdzie trzcinę trzeba sadzić, grunt naokoło w mgnieniu oka bywa rozkupiony przez plantatorów i nowym sposobem powstaje osada, szybko się rozwijająca.

Osada Ocampo zapewne, jeżeli nie podwoi swej ludności przez założenie fabryki, to przynajmniej bardzo ją podniesie, a tutaj gdzie trzcina dziko rośnie, wszyscy będą się cisnąć nagwałt. Rząd wystawił na sprzedaż pięć działów gruntu w okolicy, każdy po kilka mil francuskich, które odrazu rozkupiono i natychmiast rozprzedano parcellacyjnie; każda z osób, która dział taki nabyła, ogromny podobno zrobiła na nim interes.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OSTATNI TOM

to jest IV-ty dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEW. PRUSZAKOWĄ (DUCHINSKĄ)

Wyszedł z druku

Prenumeratorem *Bluszczu* tom I-szy otrzymali w kwartale I-ym bezpłatnie;—cena każdego z następnych tomów w Warszawie kopiejek 50, z przesyłką kopiejek 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tyt.: **Silny duch.**

TREŚĆ. Pogawędka. — Henryk Siemiradzki, dalszy ciąg), przez Stanisława Krzemińskiego. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Korrespondencya zagraniczna**, Lwów. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stettlera. — **Za Oceanem**, wspomnienia z podróży, przez Helenę Negroni.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 11-ty, przez W. Heimbürg. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycyja stołu**.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

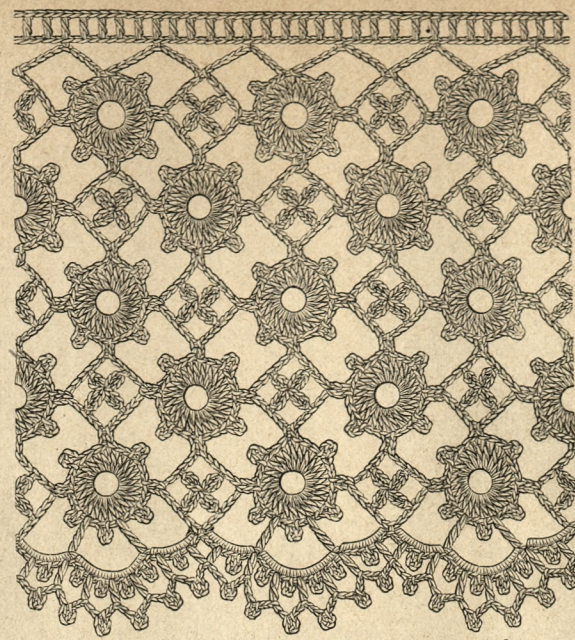
Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Января 1885 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



Nr 1. Zabki do ryc. 9 w Blu. Nr 4 szydełkową robota. Zmniejszone.



Nr 3. Koronka do mankietów szydełkową robota.



Nr 2. Szlak do koszyków robota szydełkową. Zmniejszony.

PRZEGLĄD MÓD.

Karnawał. — Tualety u pani Bosz. — Tanie pracownie sukien — Czesania włosów. — Rękawiczki.

Karnawał, taniec i tualeta balowa, to jedno-brzmiały wyraz, dla uszek naszych młodych czytelniczek, a więc choć, jak wspominaliśmy, karnawał jest i nie długi i nie zdaje się zapowiadać głośno, jednak już widzieliśmy przygotowane balowe tualety. Wprawdzie zamówione one zostały do Krakowa. Tualety te wysłała z magazynu pani Bosz, której dobry gust znany jest powszechnie paniom naszym.

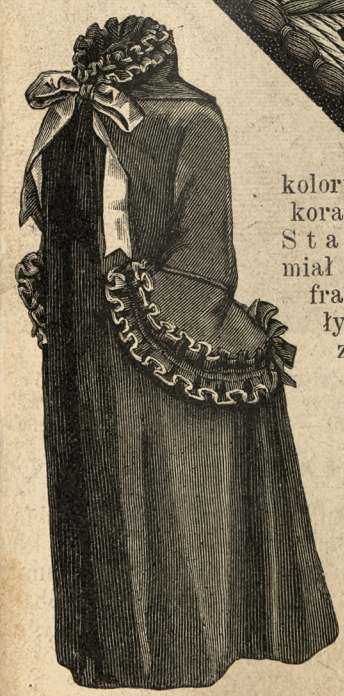
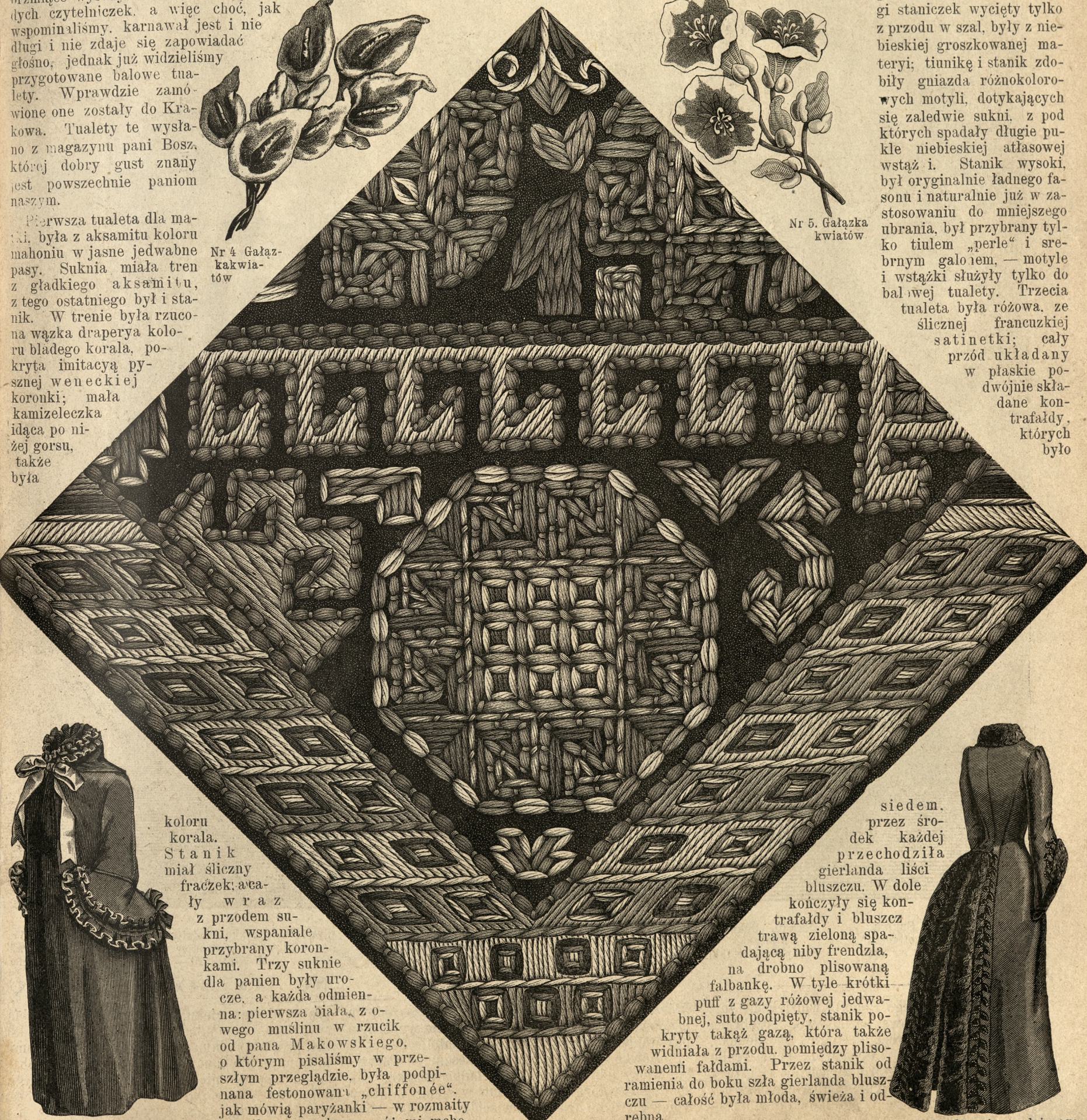
Pierwsza tualeta dla małej, była z aksamitu koloru mahoni w jasne jedwabne pasy. Suknia miała tren z gładkiego aksamitu, z tego ostatniego był i stanik. W trenie była rzuciona wązka draperya koloru bladego koralu, pokryta imitacją pysznej weneckiej koronki; miała kamizelecza idąca po niż gorsu, także była



Nr 4. Gałązka kwiatów.



Nr 5. Gałązka kwiatów.



Nr 7. Okrycie sukienne. Przód (Do r. 1 w Bl. Nr 4).

koloru koralu. Stanik miał śliczny fraćzek, acały wraz z przodem sukni, wspaniale przybrany koronkami. Trzy suknie dla pań były urocze, a każda odmienna: pierwsza biała, z owego muslinu w rzucik od pana Makowskiego, o którym pisaliśmy w przeszłym przeglądzie, była podpi-nana festonowaną „chiffonée”, jak mówią paryżanki — w rozmaity sposób, a przybrana różami mchowymi, pełnymi pąków, i różowymi atlasowymi wstążkami; wstążki

Nr 6. Czwarta część haftu do r. 9 w B. Nr 4.

siedem, przez srodek każdej przechodziła girlanda liści bluszczu. W dole kończyły się kon-trafaldy i bluszcz trawą zieloną spadającą niby frendzla, na drobno plisowaną falbankę. W tyle krótki puf z gazy różowej jedwabnej, suto podpięty, stanik pokryty takąż gazą, która także widniała z przodu, pomiędzy plisowanymi fałdami. Przez stanik od ramienia do boku szła girlanda bluszczu — całość była młoda, świeża i od-rębna.

Z tańszych pracowni rekomendujemy zawsze panią Chłusowicz (Próżna



Nr 8. Okrycie z wełnianego aksamitu. Plecy (Do ryc. 27 w Blu. Nr 3).



Nr 9. Suknia
z repsu „ottoman”.
Opis pierw. str. tabl.

Nr 10. Suknia
z atlasu.
Opis pierw. str. tabl.

Nr 11. Suknia
z jedwabnej gazy.
Opis pierw. str. tabl.

Nr 12. Suknia z tiulu
i lekkiej materji.
Opis pierw. str. tabl.

Nr 13. Sukienka dla dziewczynek od 5
do 7 lat. Krój i opis pierw. str. tabl.
Nr III, fig. 19 — 24.

Nr 14. Suknia
z „surah” i „donki”.
Opis pierw. str. tabl.

Nr 15. Su-
knia z atlasu

Nr 16. Suknia
z adamaszku
i aksamitu

Nr 17. Suknia z jedwabnej ga-
zy i aksamitu. Krój i opis pierw.
str. tabl. Nr IV, fig. 25 do 32.

Nr 18. Suknia z atlasu i koronek.
(Do ryc. 30). Krój i opis odwr. str. tabl.
Nr VI, fig. 46—48.

Nr 19. Suknia
z atlasu i ada-
maszku

Nr 3, wprost Zielonego Placu), widzieliśmy tam śliczną sukienkę różową satinetową, przybraną gazą różową i mnóstwem aksamitek „bordeaux”, koloru ciemnej wiśni. Pracownia pani Trelle (Nowy-Swiat Nr 38), której kierowniczką cztery lata pracowała w magazynie pani Aleksandryny, pod względem wykończenia staników i gustu, zasługuje na uznanie. Takie same warunki są w pracowni pani Wodyńskiej (Królewska Nr 3)

która kierując sama długi czas pierwszorzędnym magazynem, od kilku lat zdobyła sobie wyborem pasowaniem staników szeroką klientellę.

Główki zawsze są wysoko czesane — wszystkie włosy zebrane w jedną gładką wiązkę, zakończoną w górze puklem lub węzłem, w który wpina się różne ozdoby, świecidla, szyldkretowe pół-księżycy, kule, grzebyczki dzęty, brylanty, gwiazdy — widać dla tego, że dziś w ubraniu

MODY PARYŻKIE.

głowy nie ma wieku, bo starsze damy zdobią je w kwiaty, więc młode dla odróżnienia, nie kładą nic, prócz takich małych ozdób. Jednak pomimo iż to może nie odpowiada gustowi wielu osób, jużżurnale specjalnie fryzjerskie, przysyłają nam z Paryża wzory głów ubranych bardzo bogato w pukle i loki; zobaczymy je naturalnie u nas w roku przyszłym.

Rękawiczki zawsze modne tylko duńskie, ja-

śniejsze lub ciemniejsze, do jaśniejszej lub ciemniejszej sukni — nie potrzeba jednak dobierać do koloru sukni, jak to wiele osób sądzi. Ze się już oddawna nie kładą na rękawy od sukni, o tem czytelniczki Bluszczu wiedzą, gdyż to nigdy do prawdziwej elegancji nie należało. U pana Kunickiego widzieliśmy rozmaite kolory jasnych duńskich rękawiczek, do balowych sukien tylko przeznaczonych.

L. C.

Okrycie z wełnianego materiału.

Rycina Nr 8 i 27.

Okrycie to zrobione jest z brązowego materiału, na atlasowej podszewce, z rozchodzącymi się na przodzie połami; przybrane, podług ryciny, piórami i pasmanterją.

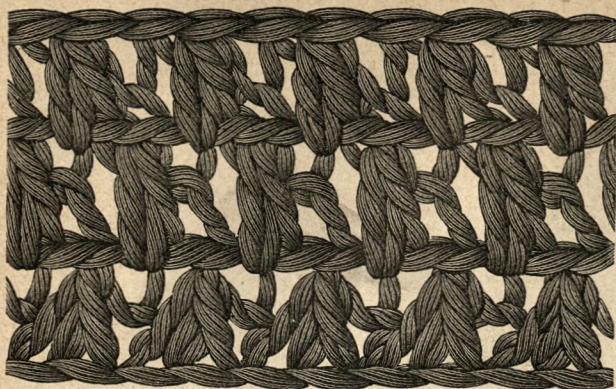
Suknia z atlasu.

Rycina Nr 15

Spódniczkę tej sukni, zrobioną z bladej-żółtego atlasu, pokrywa wolant ułożony w kontrast. Wetement jest z przodu krótkie tren, długi, gładko spadający.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół rumiany.
2. Mózdzki w konchach.
3. Sztukamięsa z sosem grzybowym.
4. Kapusta brukselska.
5. Indyczka z kompotem.



Nr 20. Tło do r. 9 w B. Nr 4 szydełkową robotą. Zmniejszone

Suknia z adamaszku i aksamitu.

Rycina Nr 16
Przód i boki spódnicy

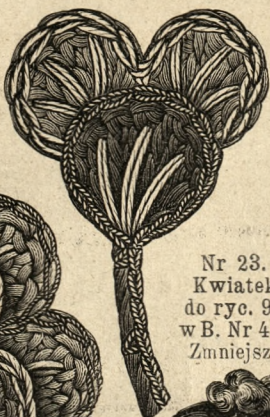


Nr 21 Wzór na kołdrę robotą szydełkową. Zmniejszony

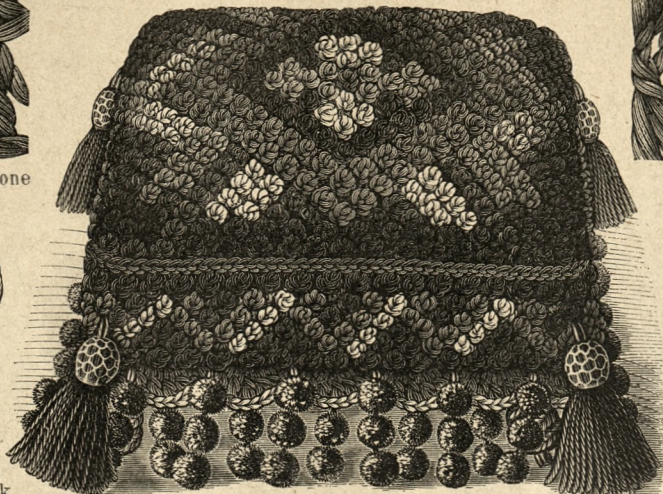
Przepisy gospodarskie

Przechowanie jaj.

Oprócz wielu podanych już przezemnie sposobów przechowania jaj, podaję tu



Nr 23. Kwiatek do ryc. 9 w B. Nr 4. Zmniejsz.



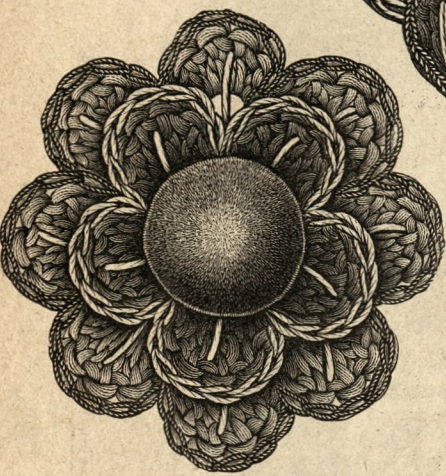
Nr 22. Taburecik pod nogi. (Do ryc. 5, 8 i 10 w B. Nr 4).



Nr 24. Kwiatek do ryc. 9 w B. Nr 4 szyd. rotota. Zmniejszony.



Nr 26. Grzebień z włosami do uczesania pod r. 29 w Blu. Nr 4.



Nr 25. Kwiatek do r. 9 w Bl. Nr 4 szyd robot. Zmniejszony.

zrobione są z lekkiego wełnianego materiału koloru morza, tylny powłóczysty bryt z adamaszku tegoż koloru, u dołu i z boków pomiędzy tylnym i gładko spadającym przednim adamaszkowym bretem, przybrana kremową koronką, naszytą wężykowato, draperię z gazy jedwabnej w złote gwiazdy i gierlandę z aster.

Suknia z atlasu i adamaszku.

Rycina Nr 19.

Spódnica z bledo-błękitnego atlasu, przybrana koronkowym wolantem, oraz krótszym z przodu, a dłuższym na bokach uplisowanym fartuszkim. Tren



Nr 27. Okrycie z wełnianego aksamitu. Przód. (Do ryc. 8).

Nr 28. Suknia z gładkiego i w desen materiału „Bizon”. Plecy. (Do ryc. 29).

z adamaszku upięty bufiasto; stanik zapinany w tyle przybrany koronką.

Suknia z gładkiego i w desen bizonu.

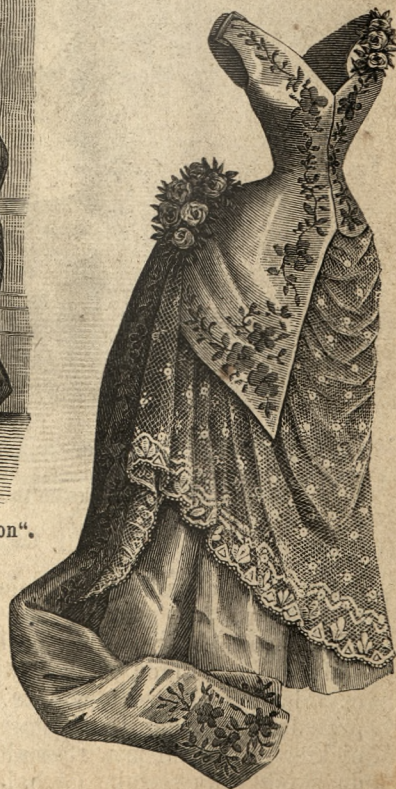
Rycina Nr 28 i 29.

Spódnica oszyta u dołu 5 cent. szeroką falbanką z ciemno-zielonego materiału bizon i pokryta 60 cent. wysokim, a z lewego boku. aż do góry sięgającym wolan-

tem, oszytym u dołu 20 cent. szeroką aksamitną plisą, częścią gładkim, częścią ułożonym w kontrafałdy. Tiunika i stanik z ciemno-zielonego w brązowy desen bizonu; tiunika z przodu śpiczasta, z boku przybrana podług ryc. brązowym aksamitem, z tyłu upięta bufiasto. Stanik przybrany aksamitnym stojącym kołnierzykiem i ransersami.



Nr 29. Suknia z gładkiego i w desen materiału „Bizon”. Przód. (Do ryc. 28)



Nr 30. Suknia z atlasu i koronki. (Do ryc. 18).

jeszcze jeden używany we wszystkich pierwszorzędných cukierniach, gdzie wkładają duży kapitał w jaję, gdy są tańsze, na przechowanie. Otóż w beczki czy beczułki układają warstwami jaja w rozrobione wodą na gęstość śmietany wapno, pilnując zawsze, aby się jedna warstwa nie dotykała drugiej. Wapno musi być dobrze gęste, aby jaja nie opadały, lecz utrzymywały się w wapnie. Skorupki jajek zawierające wapienne części, dobrze się łączą z wapnem, a jaja z nadmiernu zepsuciu przez długi czas nie ulegają, przechowane tym sposobem.

L. C.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Tablica krojów